

# WIAS

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE

Z. SWITALSKI — Droga Mikołaja Ciobanu; M. INGLOT — Powieść fantastyczno-naukowa.  
F. ZAWADA — Zaprzędane dusze; B. GOŁĘBIEWSKI — Kanał Dunaj — Morze Czarne;  
M. BORKOWSKA — Czy o „tamtych latach”? C. MICHNIAK — O „tamtych latach”;  
S. PIOTROWSKI — O zarządach świetlic; W. HERMAN — Wspólnie budujemy...;  
W. BREOWICZ — Przepiękstwo Perkowskiego; A. JAWICZ — List z Niemiec;  
E. POCHRON — Stachowicz i Górniak; T. SZEWEA — Miczurinowcy.

Rok X

Warszawa, dnia 5 lipca 1953 r.

Nr 27 (413)

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

## Z KTÓREJ WYRASTA SIŁA...

(Notatnik liryczny)

Budowniczym Nowej Huty

I.

To była ziemia klasztorna, a wieś miała nazwę Mogiła.  
Zrobili ziemię ludową, z której wyrasta siła.

II.

Procesja szła z monstancją, gdy ziemię mierzyli.  
Ksiądz im przyklepnął kazał i modlitwą zgasił  
zapal serce, który nieślił.

Lecz odszedł bezsilny.

Nie klękli. I Czyn ponieśli uparcie.

\*

Był rok czterdziesty dziewięć. Wiosna towarzysze,  
Po latach te wspomnienia zbierałem od Słysz.

III

Rano do pracy z namiotów szli ludzie z łopatom,  
Zmarzli leżąc na ziemi i ręce zsiadły od mrozu.  
Niekórzy, idąc, długo dłonie rozcierali.  
Ktoś jak tłący węgielek tytoń do ust włożył.  
Lecz nie papieros i nie z rozgrzanych dłoni  
Płynęło ciepło.

Szli, bo nowy płomień  
rozpalałaś w nich moja, nieśmiertelna Partio!

IV.

Ktoś csnął kamień w okna partyjnej organizacji.  
Ktoś mówił: „Uczniowie Stalina” i pięści zaciskał złorzecząc,  
Tamtemu odpowiedź dał pracą w Kombinacie.  
Tej nazwie — żaden nie przeczył.

V.

Młody chłopak, co kochał piękną robotę i wiersze,  
i o przyszłości roli marzenia najpiękniejsze,  
w domu, który zbudował, przebiły nożem legi,  
„bo komunistę zabić — zasługa, a nie grzech”.  
Widziałem jego zdjęcie. Jeszcze dzieciak prawie.  
A już po sobie, bracia, to miasto zostawił.

VI.

Pierwsze maszyny radzieckie nadeszły znad szarej Wołgi.  
Te dźwigi, kopaczki przypominały czołgi.  
Jak tamte wrócić wolność — te dały wolność siłę  
i rozkopaly do głębi chłopskiej krzywdy Mogiłę.

VII.

Towarzysz mój wspomina: „Przyszli, aby odejść,  
którzy szukali łózek, a znaleźli ziemię,  
którzy szukali masła, kiedy stało chleba.  
Przyszli, aby pracować tacy, których młodość  
przywykła wyżej cenić trudny, niż przyjemność,  
Ci zostali, bo Partia im mówiła: trzeba”.

VIII.

Rozmawiałem z dziewczyną od krów, która ze służby uciekła,  
Ręka jej czuła — w trybach maszyny nie błądził.  
Tłumaczyła, że jest jej, jakby umknęła z piekła.  
Dźwig obsługuje i wie Kasja, że państwem rządzi.

IX.

Pierwsza tona surówki była depeszą w jutro,  
trudnej radości wyznaniem i zapowiedzią walk,  
tych, które przyjdą. Dla których nieuleklił  
pisał własnym dziećmi „Jak hartowała się stal”.

X.

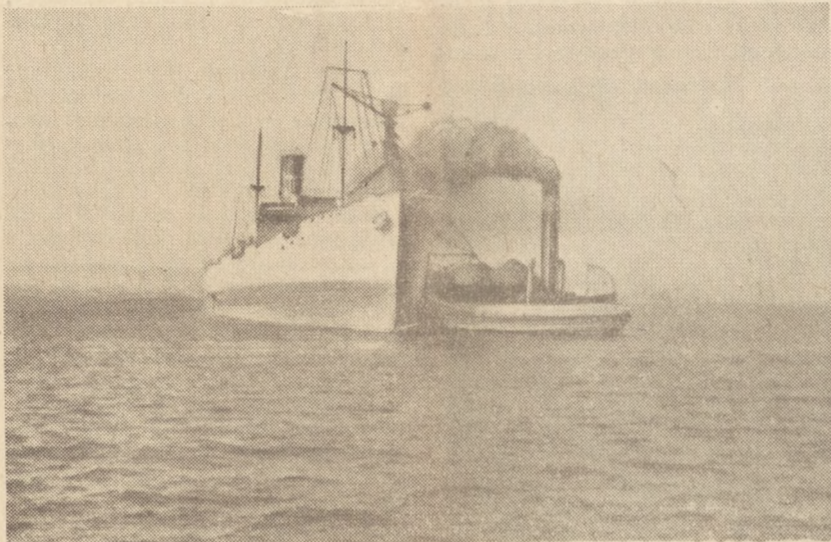
700 hektarów ziemi obrodziło domami,  
niebo wysokie i czyste zasnuło się dymami.  
Stary chłop stał na drodze, długo, co czuł, nie wyznał,  
aż w końcu westchnął skruszony: Ma odmieniona ojczyzno...

XI.

Dziecko w przedszkolu nie starsze od miasta  
razem z miastem w socjalizm wraść.  
Kiedyś po latach w hucie stal mu z rąk wytryśnie.  
Na spust patrzeć wiedzieć będzie, że żyje w komunizmie.

XII.

To była wieś klasztorna, a wieś miała nazwę Mogiła.  
Zrobili ziemię ludową, z której wyrasta siła.



IRENA SCHEUR

## DO OFENSYWY POLITYCZNO - WYCHOWAWCZEJ!

(List otwarty do aktywu gminy Głuchów)

**W**DRODZY KOLEDZY I TOWARZYSZE!  
ASZA gmina (w powiecie Skierniewice) leży na szlaku „handlowym” Łódź — Warszawa. Ten szlak zawierał w procesie rozwarstwiania się wsi. Wyrastał tu kulał nie zakopany w morgach, wyrastał „przedsiębiorca” wykorzystujący wielkie rynki zbytu i charakter ich popytu. Ow przedsiębiorca, jak to np. było w niedalekim od Was Godzianowie, przechwytywał dążenia biedoty do wykorzystania rezerw w ludziach i w surowcach, do uspołecznienia handlu i wymiany. Powstały wszak przed wojną w Godzianowie młeczarnia, spółdzielnia spożywcza, betoniarńia. Ale w rezultacie okazało się, że dwóch kulałów i trzeci inteligent zamienili te placówki społeczne na swoje przedsiębiorstwa. Ludowice, endeck i ozonowiec podali sobie ręce. Jednego bowiem byli ducha w dziele wyzyskiwania mas chłopskich pod szyldem „działaczy”.

Jakieżże maści był największy wśród nich potentat-ludowice? „Piastowice”, który powołując się na imię Witosa, kiedy na liście hasel, jakie stawał Front Ludowy (uwołań z więzień i zesłania działaczy politycznych!) widniał również i Witosa nazwisko, kumał się z endeckami i sanacją. „Piastowice” oczytany, który zwalczał „stamowców”, wiciowy ruch młodzieży biedniackiej, ostatecznie podporządkował go sobie tumaniając hasłem agraryjnym — tym, co w ten ruch wbięło zdradziecki klin, rozrywając ideę i realizację rewolucyjnego sojuszu chłopsko-robotniczego.

Dlaczego o tym wspominać? Bo z takiej przeszłości weszła w nowe dzieje Wasza gmina Głuchów. W Głuchowie działał Uniwersytet Ludowy. Przed wojną pod sanacyjnym patronatem, po wojnie pod dużym wpływem reakcyjnej, mikołajczykowskiej frondy. Przed wojną średnie szkoły ukończyło 50 osób. Duża to liczba na przedwojennym warunku wiejskim. Ten kapitał wiedzy ogólnej stał się wyposażeniem „działaczy-przedsiębiorców” dla wychowywania politycznego chłopów, tzn. ugrunтовywania reakcyjnych wpływów, tumaniania wsi, ludzenia awansem kapitalistycznym. Sprzyjał temu ów szlak handlowy wielkich rynków. Średniacy szli za wzorem kulałów. Gospodarstwa modernizowali, nastawiając na hodowlę, sadownictwo i warzywnictwo.

Faktem jest, że po 9 latach Polski Ludowej jeden tylko Godzianów nad granicą Waszej gminy ma spółdzielnię produkcyjną. Wczesny zryw biedniaków (r. 1949) opasał mur średniackich gospodarstw i ani tam, ani w dziesięciu Waszych wsiach jeszcze nie kruszeje. W jedenastej powstała pierwsza spółdzielnia, i gdzie? W jedynej piaszczystej części gminy, a zorganizowana prawie wyłącznie przez biedotę.

\*

Jakże wymowny, niekiedy nawet wstrząsający przykład ostrej walki klasowej w Głuchowie i okolicy dają dzieje znanego korespondenta „Zielonego Sztandaru”, „Chłopskiej Drogi” i „Głosu Robotniczego”, Wacława Wilczaka.

Ten 56-letni chłop, który jak powiada, chciałby mieć dziś lat 30, rozpoczął swoją pracę w okresie, kiedy w samym Głuchowie PSL liczył przeszło 100 członków i był najsilniejszym ugrupowaniem politycznym. Już w 1947 roku zdemaskował Wilczaka PSL-owskiego wójta za nie-

sprawiedliwe rozkładanie podatków. Wójt mikołajczykowy wiedział co robił; podatki miała zapłacić biedota. W następnym roku Wilczak zaatakował spekulantów, handlarzy i GS, podnosząc urzędowe ceny do paskarskich. W następnym walczył przeciwko nadużyciom w skupie zboża. I na tym odcinku główne ciężary spaść miały na kark biedoty.

Aktywiści głuchowscy, wiem, że niechętnie i ze wstydem o tych sprawach mówicie. Jest bo czego się wstydzili! Wilczak walczył wszak samotnie zanim Wy weszliście na czołowe pozycje walki. Starszy już siwy i spracowany chłop opowiadał mi jak to były sanacyjny policjant odradzał mu należeć do ZSL i proponował wstąpienie do któregoś z bractw kościelnych; pokazywał mi Wilczak anonimy. Wiadomo także, iż przegrał proces wytoczony mu przez niezwykle zręczną klikę głuchowską, znajdującą oparcie nawet w powiecie. Dzisiaj ten zrewidowany proces należy już do przeszłości, ale wcale jeszcze nie przebrzmiał, gdyż wróg działa nadal.

W ogniu walki wyrósł Wilczak nie tylko na bojowego, bezkompromisowego korespondenta, ale i wzorowego gospodarza. W ubiegłym roku wykonał swój plan skupu w przeszło 200 procentach; zamiast 3 tuczników odsprzedał państwu 5 olbrzymów.

Niestrudzony korespondent reprezentuje postępowy typ głuchowskiego średniaka. I to, że nie znosi podłości, fałszu i wyzysku jedna mu serca innych. Kiedy stało się jasne, że klika zgrupowana w GRN i GS użyła oszczerczych argumentów przeciwko Wilczakowi na procesie w Skierniewicach, kiedy chłopci sami uzmysłowili sobie, że ich od wielu lat oszukiwano, stary korespondent zyskał sobie wielu sympatyków. Nie była to, rzecz prosta, sympatia tylko osobista. W niej się wyraziły zachodzące przeobrażenia w świadomości średniaków. Od roku 1951, roku procesu, gmina znacznie usprawniła wykonywanie obowiązków wobec państwa.

\*

W tej ostrej walce klasowej trzeba widzieć wyraźnie obie strony.

Kiedy mowa o wrogu — o co on zabiega? Wy powiadacie: kulałów w całej gminie 20. Pominijmy pytanie, ilu zdążyło w ubiegłych latach, kiedy Gminną Radę oni właśnie obsiedli, ilu z nich zdążyło się pomniejszyć, rozpisując gospodarstwa? Ilu z nich działa wobec tego pod owczą skórą średniaka i wśród średniaków — właśnie bez dystansu klasowego.

Zostaliśmy przy pytaniu o taktykę wroga na tym etapie. Jest 11 świetlic w Waszej gminie. Pedzą żywot anemiczny. Biblioteka gminna zawiera 2300 tomów, czytelników 522 na 8000 mieszkańców. Czyta co 16-ty. I kto czyta? Młodzież, bo i szkół jest 11. Czy tak źle jest z kulturą? Nie! Żle jest z jej organizacją i techniczną i polityczną. Sprawdzicie na poczcie, a dowiecie się, że miesięcznie przychodzi do chłopów na dom 200 książek.

trzymanie opinii sąsiedzkiej, wędrującej pantoflową pocztą znad plotu.

W tym półcieniu walczył się jeszcze jak ostatnio na przemycanie plotki, że jeśli we Włoszech wybory wygra de Gasperi, to i we Francji stulą uszy komunisty, a wówczas...

Taką plotkę można było wylapać w Waszej gminie na kilka dni przed wyborami we Włoszech. Ocenie bezczelności tej plotki, kiedy dobrze było wiadomo, jak silne są wpływy Komunistycznej Partii Włoch, jakiego stracha nadchodzące wybory napełniały chadecją de Gasperiego i Amerykanom. Ocenicie, jak desperackiej chwycił się wróg argumentacji. Następnie bowiem dni w miwe obrębły kłamstwo.

Ale w sąsiedzkiej poczcie „wygrał-przegrał”, właśnie „przegrał” mniej-sze ponosi straty. W pełni bowiem skompromitować może wroga dopiero cios zadany mu publicznie tam wszędzie, gdzie gromada skupia się w życiu zbiorowym. I to publicznie, społecznie i kulturalnie życie trzeba we wszech sił budować i umacniać.

\*

Jaką siłę przedstawia w gminie Głuchów front rewolucji? Przedstawia siłę o wiele większą niż sobie z tego zdajeć sprawę Wy, koledzy działacze, którzy na tym froncie dowodzicie. I na tym polega Wasz błąd.

Kiedy pytałam o czytelnictwo: dlaczego słabe, kiedy pytałam o świetlice: dlaczego martwe, przez ZSCH rozkładał ręce: — widzicie, jacy tu chłopci... Referent Cusku tłumaczył: — Po uszy siedzą w gospodarce, gdzie im do wysiadowania nad książkami! A sekretarz GRN pocieszył mnie: — książka jak książka, ale z dostawami u nas coraz lepiej!

Dobrze wiecie, że nie o książkę mi szło i jeśli ona ma tu być symbolem całego ruchu kulturalno-gospodarczego, symbolem pogłębionego zbiorowo życia politycznego, to przecież nie umacniacie się na pozycjach, które stanowią dla tego życia potężny fundament.

Macie wszak w Waszej gminie zelektryfikowane w Polsce Ludowej cztery gromady, sześć całkowicie radiofonizowanych, wybudowaną Ośrodek Zdrowia, jest apteka, gabinet dentystryczny, 3 dobre przedszkola, 11 szkół, 11 bibliotek, 11 świetlic, przyjeżdża kino. To są osiągnięcia, którymi trzeba się zdyktować, które trzeba chłopom uświadczać. To są pozycje, z których należy prowadzić szturm w każdej gromadzie.

Przed wojną 50 osób z Waszej gminy zdobyło maturę. Zdobyli ją młodsze pokolenie kulałów, spekulantów i różnych wdzirejów jako broń, którą obrócili podczas okupacji i po wojnie przeciw biedocie i przeciw średniakom do wywołania zamętu w głowach, dla hamowania rewolucji. Ale przecież po wojnie uczy się w szkołach średnich zawodowych i ogólnokształcących 740 osób z Waszej gminy! Jaka to potężna armia! 28 jest już na studiach wyższych, dwóch nawet studiuje w Związku Radzieckim.

Taką treść w Waszej gminie ma symbol książki. Ktoż zatem, jak nie Wy, powinieli owe strumyczki z gromad i zagród w jedną rzekę połączyć i ten wielki nurt oczom chłopskim pokazać? Jednorodny to proces — 800 kształcących się chłopów i rozwój spółdzielni produkcyjnych, rozwój socjalizmu na wsi. Nie

psim swedem, nie boczkierem, nie prywatnie z chalupy i nie z nieba ta masowa szansa, ale za sprawą władzy robotniczo-chłopskiej, za sprawą wielkiego budownictwa socjalizmu, do którego prowadzi naród, partia i klasa robotnicza.

Koledzy-działacze! Nie na rozważaniach chce poprzestać, choć one już dają bodziec do mobilizacji. Idźcie mi o samą mobilizację na obecnym etapie, w obecnej chwili.

Macie wielkie szanse i wszelkie szanse do pokonania wroga w jego walce o izolację społeczną chłopów, o zakopanie średniaka w gospodarstwie i domu. Nie można przecież tak wielkiej armii studiującej młodzieży uważać za armię tylko szkoloną w zakładach naukowych, w mieście, tylko tam czynną. Nadchodzi wakacje. Ta armia wróci do waszej gminy. 800 młodzieży! Trzeba dla niej stworzyć plan działania. Trzeba ją uruchomić w świetlicach, bibliotekach i domach rodzinnych. Wchodzimy w okres zniw, zbliżamy się do święta narodowego, w którym myśli całego narodu odmierza już osiągnięte przemiany i kierować się będą w przyszłość wspaniałą naszą ojczyzną.

Okres zniwny łączy się ściśle z zadaniem zbytu produktów rolnych, łączy się z jesienią, w której najpoważniej podejmować decyzje o nowym sposobie życia i gospodarki. Ten okres nie powinien być przez Was zmarnowany. Nie wolno zamknąć go w granicach ciasnego praktycyzmu administracyjno-gospodarczego, kiedy może i powinien on stać się okresem wielkiej ofensywy kulturalno-politycznej.

W najśmielszych marzeniach zarządu powiatowego ZSCH liczone w tym roku na 150 chłopów w gminie Głuchów jako członków zespołów doświadczalnych. A liczą one 690 chłopów (głównie w dziedzinie hodowli). Przewodząca gromada Białyń weszła w tej wiosny wszystkie inne co współzawodnictwa w akcją przygotowawczą do zniw. Tego parcia chłopów do większych wyników produkcji, tego patriotyzmu gospodarczego aktyw nie powinien przeoczyć, skazując go na żywiołowy rozwój. To wielka siła, która podrosła w izolowanych przez wroga domach i trzeba jej pomóc w rozsądzeniu starych skorup. A droga jedna. Trzeba uświadczyć chłopom ich postępowe parcie. Trzeba podnieść je i pogłębić. W bitwie o zniwa trzeba widzieć nie tylko pole walki, ale również i biwaki. W świetlicach i na zebraniach niech dojdą do głosu produkujący doświadczalnicy. W jedenastu świetlicach trzeba aby się pojawili świetni gospodarze-robotnicy z PGR Prusy. Gospodarzom średniakom będą mieli o czym powiedzieć:

	PGR	indywidualni
pszenica	30 q	18 q
owies	30 q	16 q
żyto	23 q	14 q

Te liczby mają wymowę. W PGR Prusy wyrażają przeciętną, w indywidualnych górą granicę. Jeszcze większą wymowę będą miały wyjaśnienia, ukazujące co rozstrzyga tu o różnicy.

Macie więc koledzy-działacze sposobną porę, doskonałe warunki i wielką siłę argumentacji aby wygrać bitwę polityczną z wrogiem o zdobycie średniaka, zdobycie go do spółdzielni produkcyjnej.

Irena Scheur



BRONISŁAW GOŁĘBIEWSKI

## POWIEŚĆ O BUDOWIE KANAŁU DUNAJ-MORZE CZARNE

Uchwalono przystąpić do robót wstępnych, związanych z budową kanału Dunaj — Morze Czarne — pisały dzienniki w maju 1949 r. komentując postanowienia Biura Politycznego KC Rumuńskiej Partii Robotniczej i Rady Ministrów. W połowie lipca stępy Dobrudży zaludniły się budowniczymi. Było to w roku pierwszego w Rumunii jednorocznego planu państwowego. Nie było jeszcze dostatecznej ilości kadr technicznych, ani warunków gospodarczych po temu, aby opracować plan na dłuższy okres. Zasadniczym celem planu r. 1949 było ugruntowanie niezawisłości narodowej, gospodarczej i politycznej Republiki oraz stworzenie przesłanek do budowy socjalizmu w pierwszym rzędzie drogą rozwoju przemysłu ciężkiego. 75 proc. ludności Rumunii w r. 1948 to byli mieszkańcy wsi. Wróg, a szczególnie kulak i spekulant, był jeszcze silny. Rumunia przeżywała ten decydujący moment pełen napięcia walki z wrogiem, kiedy nie zostało jeszcze rozstrzygnięte pytanie: „Kto — kogo?”, kiedy „...po pierwszej poważnej klęsce, obaleni wyzyskiwacze, którzy nie spodziewali się swego obalenia, nie wierzyli w nie, nie dopuścili myśli o nim, rzucając się w bój z udzięciokrotną energią, z wściekłą pasją, ze stokrotnie wzmożoną nienawiścią, w bój o przywrócenie utraconego raju” (Lenin). Obraz tego przelotowego w życiu narodu rumuńskiego momentu znajdujemy w powieści Petru Dumitriu pt. „Droga bez kurzu”, która została nagrodzona w r. 1952 Nagrodą Państwową I stopnia. Petru Dumitriu zadebiutował po wojnie w roku 1944 opowiadaniem z życia wsi zjednując sobie uznanie i poczytność. Po rozpoczęciu budowy kanału Dumitriu osobiście pracował wiele miesięcy na budowie poznając jej problemy, ludzi, heroizm i entuzjazm kolektyw. Z tych bezpośrednich obserwacji powstała powieść zakrojona na miarę eposu dającego się najlepiej porównać z „Daleko od Moskwy” Azajewa.

Problematyka budowy prowadzonej w ostrej walce z wrogiem stanowi podstawową treść powieści.

Autor opisuje co prawda jedynie wstępne prace kilku miesięcy do końca 1949 r. Ale czytelnik jest przekonany, że kanał zostanie zbudowany w terminie, że wróg zostanie pokonany. Przekonanie to rodzi się dzięki temu, że ludzie, których pokazał Dumitriu, pokonują trudności wstępnych prac, gdy działalność wroga była bardzo szeroka i niemal bezkarna. Ich zwycięstwo na tym początkowym etapie daje naj-

lepszą gwarancję doprowadzenia dzieła do końca.

Prolog i cztery księgi powieści przeprowadzają nas przez kolejne etapy walki klasowej na budowie, przeobrażenia świadomości i cementowania się kolektywu robotniczego i partyjnego.

W prologu stoją twarzą w twarz przybyli na nieogrodzoną pustynię główni antagoniści: Maftei, Pangrati, Mateika. Te postaci to trzy postawy, trzy środowiska: robotnicze — komunistyczne, inteligentnie ze złudzeniami apolityczności i wrogie, dywersyjne — obszarniczo — faszystowskie. A inni? „Większość do bezpartyjni, przyzwyczajeni do metod prywatnego przedsiębiorcy, do nędznego życia, do pracy pod przymusem, do

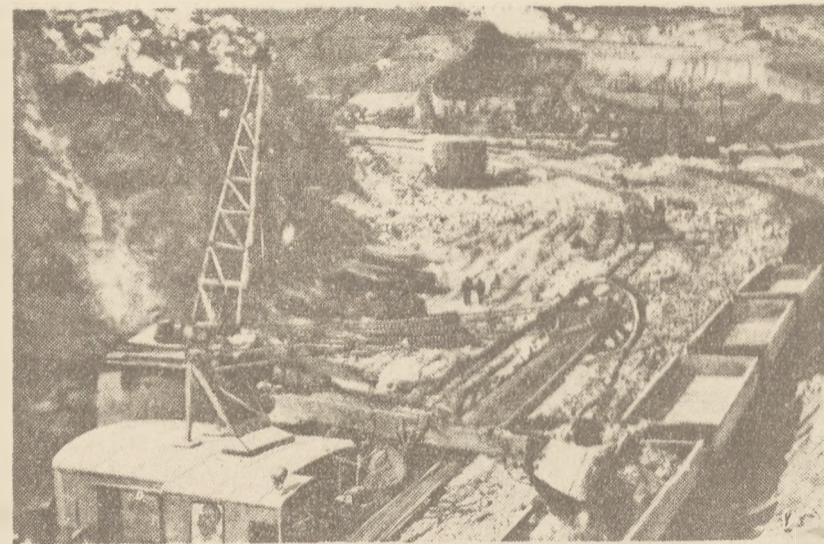
o ludzi. Gheorgiu Dej podczas odwołania budowy wytknął to towarzyskom.

Zlikwidowanie większej części bandy Mateiki i aktywizacja organizacji partyjnej staje się w księdze trzeciej podstawą do ograniczenia wpływu wrogich elementów na robotników. Zaczyna się tworzyć kolektyw. Chłopi — biedniacy, jak Achim, Chirsan, Miklut, Gelat stają do współzawodnictwa, „przelamują wiele oporów wewnętrznych i niechęci. Ale z podnoszeniem się produkcji i stopy życiowej robotników nie szło jeszcze dostatecznie uświadomienie robotników. Wróg był rozbity, ale nie dobity. Perfidny sabotaż na terenie elektrowni zmusza znów organizację partyjną i robotni-

decydowanie odparty. Wróg przy pomocy kulactwa wykorzystując wywołane przez niesprawiedliwe obliczenie zarobków niezadowolone staral się sprowokować masową ucieczkę robotników z budowy. Partia i robotnicy na wszystkich budowach likwidują dywersantów. Ujęty został ich główny szef i dyspozytor, stary arystokrata i faszysta, Caraman Mateika, pod gradem zarzutów i oskarżeń demaskuje się i zostaje zaaresztowany. W kierownictwie budowy zwycięża myśl inż. Pangratięgo, wzięta z doświadczeń radzieckich i poparta przez robotników, aby kontynuować wykopy zimą. Nowe maszyny radzieckie, koparki, buldożery, transportery w coraz większej liczbie napływają na teren budowy.

Petru Dumitriu potrafi pokazać patos budowy i entuzjazm robotników przez codzienne fakty nie odarte z powszedniości, szarzyzny, pomyłek i niepowodzeń. Ukazuje nie tylko jednostki, ale poprzez zindywidualizowane postaci cały kolektyw budowniczych, bohatera — zbiorowość, a postaci czołowe pokazuje właśnie na tle tej zbiorowości. „Życie nasze jest jak fragment wielkiego obrazu — mówi prof. Serafimow, główny projektodawca kanału, uczonej radziecki. — Jeżeli patrzeć nań w oderwaniu od całości, nie rozumie się nic: jakże kolory, plamy bez sensu”. Postaci czołowe będące motorem akcji zarówno pozytywne jak i wrogie działają poprzez kolektywy.

Do szeregu klasy robotniczej dochodzą chłopci-biedniacy: Chirsan, Miklut, Gelat. Ich wspólną cechą jest nienawiść do kulaków, pragnienie nowego, uczciwego życia, pracowitość i upór. Podejmują oni współzawodnictwo i wielokrotnie demaskują wroga robotę kulaków: Sulimana, Ceadara, Mateja. Długo jednak nie wyzwalają się ze starych nawyków. Gelat, Tatar, nie chce oddać koni do stajni, bo boi się o nie, nie chce iść spać do baraków, nie chce puścić do siebie córki do baraków młodzieżowych i nie pozwala jej wyjść za mąż za „chrześcijanina” — Rumuna. Przelamuje te opory, zaprzęga się z Rumunami i staje się ich nieodłącznym towarzyszem. Na budowie kształtuje się też nowa, ludowa inteligencja. Inż. Pangrati porwany patosem wielkiej budowy, odważny i gotów na ciężką, trudną pracę, nie chce się zajmować polityką i walką klasową. Ale właśnie w niego uderza wróg, o niego walczą. Sabotaż na budowie elektrowni i dwuznaczne wypowiedzi Mateiki dają mu wiele do myślenia. Opuśczonej przez ukochaną kobietę, arystokratkę Done, która wolała rzucić się w ramiona Mateiki, „bohatera walki przeciw



tego, że pogardza się nimi... Tkwi w nich jeszcze dawna choroba: rezygnacja, brak odwagi i inicjatywy”.

W księdze pierwszej poznajemy środowisko tych ludzi i powody, dla których przybyli na budowę. Przelatują się tu na budowie losy ludzi o różnych charakterach, różnej przeszłości, różnych nawykach. Dumitriu ukazuje zrzeczną i podstępą działalność wroga podczas gdy nie liczni komunisti są jeszcze zdezorientowani, nie stworzyli sobie jeszcze właściwych metod pracy w nowych trudnych warunkach.

W drugiej księdze zagadnienie wyniku walki jest sprawą otwartą. Autor przedstawia okres zamętu i czasowych triumfów wroga. Frenkel, biurokrata, kierownik administracji, paraliżuje wszelką pracę marnotrawiąc materiały i siły ludzkie. Popescu po złodziejsku oblicza normy i fałszuje listę płacy. Lupescu jako kierownik stołówki wraz z kucharzem Smorandoche gładzą robotników i kradną, ile się da. Organizacja partyjna wykazuje pewną opie- szczość. Nie troszczy się dostatecznie

o wysunięcia wniosków: „Wychować zespół, który wiedziałby, do czego ma służyć każdy gwóźdź, każdy kawałek żelaza, każdy metr sześcienny betonu”. — Taki wniosek wysuwa partyjny inż. Jurascu, członek egzekutywy. A Mitika Rusu, sekretarz organizacji partyjnej, mówi: — „Ludzie będą się cieszyć z całego serca, kiedy dowiedzą się, jakie są plany. Bo dotychczas to było tak: błądziliśmy niby ślepy... I wtedy zobaczyliśmy, ile trafnych pomysłów widzieje od robotników”.

Takie słuszne stanowisko wkrótce dało dobre rezultaty. Został zwolniony cichy sprzymierzeniec sabotażystów, nieudolny kierownik budowy, inż. Anghelcsu. Nowy kierownik Zamasan szybko wprowadził porządek i dyscyplinę, zachęcił do oszczędności i stosowania pracy według metod radzieckich. Sam osobiście pokazał je robotnikom. Wkrótce posypały się projekty racjonalizatorskie i zwiększała się wydajność pracy.

Ostatni wściekły atak wroga w księdze czwartej zostaje już szybko i

zakończony. Wkrótce nastąpiła wielka walka, która zakończyła się zwycięstwem kolektywu. (Dokończenie na str. 7)

ZBIGNIEW ŚWITALSKI

## DROGA MIKOŁAJA CIOBANU

450

tyś ludzi pracy zorganizowanych w 12 tys. zespołów zajmujących się w Rumuńskiej Republice Ludowej twórczością artystyczno-amatorską. Niedawno odbyły się w Bukareszcie finały III Ogólnokrajowego Konkursu Zespołów Artystycznych Zw. Zawodowych przed IV Festiwałem Młodzieży i Studentów.

W konkursie wzięło udział 1450 chórów, 1500 zespołów tanecznych, 600 orkiestr i zespołów instrumentalnych liczących łącznie 130 tysięcy artystów — amatorów. Pierwsze miejsce w kategorii chórów zajął zespół Uniwersytetu Bukareszteńskiego im. I. C. Parhona, dyrygentem którego jest 23-letni Mikołaj Ciobanu. W finale był on najmłodszym dyrygentem, co już wiele mówi o jego nieprzeciętnym talencie. Jako 10-letni chłopiec zaczął wędrować po służbach u kulaków, a jeszcze w 1946 r., ostatnim roku istnienia monarchii Hohenzollernów, pracował jako parobek u dziedzica. Z tych czasów jako symbol drogi, którą przebył, zachował pewien osobliwy przedmiot. Przechowuje go troskliwie i czasem w przystępie dobrego humoru pokazuje kolegom i gościom.

Ten osobliwy przedmiot to niezgrabnie zbite z deszczulek pudełko z kilkoma porwanymi strunami. Trzeba mieć nie lada imaginację, by móc je traktować jako skrzypce. A jednak przedmiot ten, z trudem wystrugany z kawałka drewna, stanowi skarb dla Ciobanu. Wystrugał go sam, ponieważ nie widział nigdzie pomocy w ustroju, w którym człowiek pracy być nieczym, a majątek i urodzenie wszystkim.

Nęda i ucisk ciałopów rumuńskich był tak nieznośny, że w 1907 roku idąc za przykładem swoich braci rosyjskich rozpoczęli oni powstanie. Rząd utopił rewolucję w potokach krwi.

Mimo krwawego terroru walka nie ustawała, ale wzmagała się z każdym rokiem. Walka robotników i chłopów toczyła się też i o prawo do awansu dla wiejskiego parobka, o prawo do rozwoju talentu tego rumuńskiego „Janka Muzykanta”. Toteż jego sztuka od początku służyła tej walce i twórczej pracy mas ludowych budujących podstawy socjalizmu. Ciobanu pamięta dobrze pierwszy występ, gdy zespół dawał przedstawienie dla robotników

metalicznych fabryki Kalan w Sierbiogrodzie. Jeszcze dziś będąc laureatem i nagrody i kawalerem „Orderu Pracy” wspomina on ze wzruszeniem swoje podniecenie przed pierwszym występem i burzliwie brawa, którymi widownia robotnicza uznała go za samodzielnego artystę. Ciobanu jest jednym z wielu ludowych talentów ujawnionych w ludowej Rumunii. Wyzwolenie kraju przez Armię Radziecką zaważyło wyraźnie na jego drodze życiowej. Majątek dziedzica, na którym pracował, został zamieniony na Państwowe Gospodarstwo Rolne. W kierownictwie PGR pojawili się ludzie diametralnie różni



od dziedzica i jego administracji. Gdy zwierzył im się ze swego umiłowania gry na skrzypcach i chęci uczenia się dalej, skierowali go natychmiast na Studium Przygotowawcze przy Konserwatorium w Bukareszcie. Otrzymał bezpłatną naukę, miejsce w Domu Akademickim i stypendium. Swoją wybitny talent wspierał wyteżoną pracą i już po roku został powołany jako skrzypek do zespołu Centralnego Domu Kultury Związków Zawodowych. Zamiast prymitywnych geśli otrzymał wspaniałe wirtuozowskie skrzypce.

Będąc już przodującym skrzypkiem zespołu, Ciobanu, aktywista Związku Młodzieży Robotniczej, otrzymał polecenie zajęcia się kilkoma początkującymi chórami szkolnymi. Praca społeczna pogłębiła jego talent. W zespole Centralnego Domu Kultury Związków Zawodo-

wych przeszedł do pracy dyrygenta. Stał się wodzą drogi na Uniwersytecie im. Parhona w Bukareszcie. Chór uniwersytecki wymagał wiele pracy i doświadczenia zawodowego. Wśród członków panowała rozluźnienie dyscypliny, dano się zauważyć słabe wyszkolenie głosowe połączone z wygórowanymi ambicjami. Nieoceniona pomoc w usuwaniu braków i doskonaleniu pracy zespołu znalazł Ciobanu w literaturze radzieckiej, książce Jegorowa „Teoria i praktyka pracy chóru”. Idąc za radą radzieckiego mistrza potrafił on wzbudzić zainteresowanie członków chóru muzyką, ustalając repertuar na podstawie

szym życiu wsi rumuńskiej. Entuzjastycznie witalny wódz narodu rumuńskiego Gheorgiu Dej ogłosił z trybuny gigantyczny plan rozwoju rolnictwa rumuńskiego na okres najbliższych 10 lat, przewidujący podwojenie produkcji rolnej w porównaniu ze stanem przedwojennym. Ten oszałamiający plan będzie zrealizowany, lecz by go wykonać, należy przezwyciężyć ogromne trudności, wynikiem wskutek czego przyspieszy tempa rozwoju przemysłu od powolniejszego wzrostu produkcji rolnej. Zjazd uchwalił nowy wzorcowy statut spółdzielni produkcyjnej i przedyskutował środki konieczne do wzmocnienia spójni pomiędzy miastem a wsią.

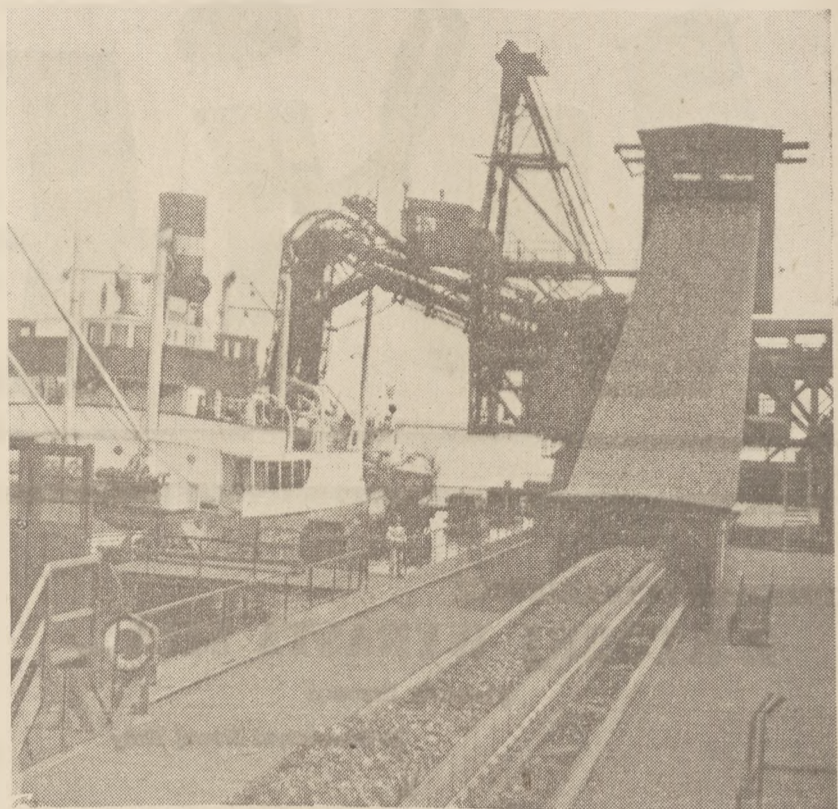
W nowych warunkach pracuje, uczy się i rozwija swoje talenty twórcze rumuńska młodzież chłopiska. Ciobanu jest artystą, jest laureatem, ale równocześnie w terenie rosną nowi młodzi działacze, naukowcy, artyści np. Simion Ivan. Przyjechał na Zjazd Spółdzielczości z granicy węgierskiej ze wsi Nadesz pow. Sighisoara ze spółdzielni „Portiziani Pucii”. Wieś zamieszkuje Rumuni, Węgrzy Sosi. Za rządów obszarników pracujący chłopcy byli ku uciecie i pozytywowi miejscowego dziedzica i kulaków podzieleni na trzy wrogie obozy. Nawet po zorganizowaniu spółdzielni produkcyjnej dawne spory i zawzięci nieupenie wygasły.

Człowiekiem, który dokonał ostatecznie pojednania zwaśnionych był właśnie Simion Ivan. Z jego inicjatywy, przy poparciu organizacji partyjnej, utworzono czerwony kącik, którego został kierownikiem. Wzorowo wywiązując się ze swego zadania, Simion wciągnął do pracy młodzież. Wspólnie potrafili stworzyć w czerwonym kąciku tak miłą i przyciągającą atmosferę, że wkrótce stał się on ulubionym miejscem zebrań dla wszystkich i miłośni definitywnie ze wsi resztki nacjonalizmu. W bibliotece czerwonego kącika bogato wyposażonej w książki radzieckie, węgierskie i niemieckie przeszło 40 proc. spółdzielców to stał czytelnik. W czasie kampanii wiosennej 3 kółka czytelnicze rozwijały swoją działalność w polu, w brygadach i ogniwach. Nie zaniedbano podnoszenia wiedzy rolnej i dodano do tej akcji wciągnięciem znaczną część spółdzielców. I tak 30 spółdzielców uczęszczało regularnie na posiedzenia kółka agrotechniczne, 16 uczestni-

cząc w wyjazdach i ogniwach. Nie zaniedbano podnoszenia wiedzy rolnej i dodano do tej akcji wciągnięciem znaczną część spółdzielców. I tak 30 spółdzielców uczęszczało regularnie na posiedzenia kółka agrotechniczne, 16 uczestni-

cząc w wyjazdach i ogniwach. Nie zaniedbano podnoszenia wiedzy rolnej i dodano do tej akcji wciągnięciem znaczną część spółdzielców. I tak 30 spółdzielców uczęszczało regularnie na posiedzenia kółka agrotechniczne, 16 uczestni-

cząc w wyjazdach i ogniwach. Nie zaniedbano podnoszenia wiedzy rolnej i dodano do tej akcji wciągnięciem znaczną część spółdzielców. I tak 30 spółdzielców uczęszczało regularnie na posiedzenia kółka agrotechniczne, 16 uczestni-



KAZIMIERA BIELSKA

## WRAKI WYDOBYTE Z DNA MORZA

Czytając „Wraki” Meissnera odczuwa się wrażenie, że książka powstała przede wszystkim po to, by zapoznać szerokie rzesze czytelników z pracą nurków, by ukazać jej porywający mmo wszystkim trudności i niebezpieczeństwa romantyzmu. Jeżeli tak jest, to zadanie swoje spełniają „Wraki” dobrze. Po pierwsze: z powieści można się wiele nauczyć o warunkach i metodach pracy podwodnej, tak wiele, że zamieszczony pod koniec książki szkic popularnonaukowy stanowi już raczej podsumowanie i uporządkowanie wcześniej zdobytych wiadomości. Po drugie: nigdzie nie przekształca się ona w nudny podręcznik, przeciwnie — opisy pracy pod wodą i na powierzchni należą do najlepszych partii książki. Po trzecie: wszystko to wplecione jest w bardzo dobrze zbudowaną fabułę, fabułę sensacyjną, trzymającą czytelnika w napięciu. Autor rozporządza wieloma postaciami, ostro kontrastującymi ze sobą, co ułatwia przeprowadzenie coraz to nowych spłięć.

Krzywdą dla autora byłoby jednak ocenie jego książki jako swego rodzaju zbeletryzowanego podręcznika. Meissner pisze o ludziach, o ich wspaniałej, trudnej pracy. Ciekawość, oryginalność „Wraków” polega przede wszystkim na bogatym, wszechstronnym, choć nie pozabawionym błędów ukazaniu środowiska ekip ratowniczych.

Jak przedstawia się to środowisko? Uderza przede wszystkim bardzo trafna indywiduacja postaci. Meissner kilkoma zdecydowanymi pociągami rysuje sylwetki żywe i charakterystyczne. Zwroca przy tym uwagę wielką swobodą i rozmaitością środków: Orbacha charakteryzuje znakomicie zachowanie się w czasie gwałtownego wypadku, Wachla demaskują przytoczone zrzeczony jego własne myśli i doskonały komentarz autorski, Habzę widzimy jak na dloni już w czasie rozmowy w pociągu, prawa i subtelna natura Grabienia znajduje potwierdzenie w jego stosunku do rybaka — Barnata.

Czy jednak w tej różnorodności ludzkich indywidualności i światopoglądów nie zagubilo się to, co najważniejsze — społeczna typowość postaci? Wydaje się, że na ogół nie. Typowa jest zarówno postać bezgranicznie oddanego pracy inż. Jakusa, jak zorientowanego na drobniomieszkański styl życia, drobniomieszkańskie ideały życiowe — Wachla, typowa są sylwetki, Orbacha, Pałamarza, Grabienia.

To wszystko pozwoliło autorowi osiągnąć cel najważniejszy: ukazać się ofiarę kolektywu, piękno wspólnej wyteżonej pracy. We „Wrakach” widzimy jasno, jak trudne, niewykonalne zadanie mobilizacji w przyszłość. Na pewno nie jest przypadkiem, że właśnie w opisie dni wydobycia n.s. „Adlerne” najżywszych barw nabiera sprawa Barnata, że sposób ukazania jego przemian znacznie się pogłębia. Bo w ten sposób realizuje się zasadnicza myśl utworu: właśnie w procesie wspólnej pracy, wobec wielkich mobilizujących zadań dojrzewa świadomość robotników.

Odstępstwo od realistycznej typowości jest we „Wrakach” jedno, ale o ciężarze gatunkowym bardzo poważnym. Chodzi tu o Czelusniaka. Jest to postać książki najbardziej chyba irytująca, budząca zasadniczy sprzeciw. W intencji autora leżało, zdaje się, takie ukazanie charakteru tego starożytnego działacza partyjnego, aby przy całej jego uczciwości, bezkompromisowości i — w gruncie rzeczy — dobroci, zaznaczyć jako zasadniczą wadę nieumiejętność postępowania z ludźmi, wypływająca z braku wiary w człowieka, z braku zaufania do czyjejś dobrej woli, z wietrzenia w każdym wroga. W realizacji niestety sprawa przedstawia się niejasno: ten jedyny młodszy przedstawiciel partii w powieści wy-

padł bardzo nieprzekonywająco, nie zawsze rozumiemy przyczyny jego błędów, skłonni jesteśmy traktować jego działalność jako szkodliwą. Łączy się to chyba z faktem, iż Czelusniaka widzimy zawsze przez pryzmat jego stosunku do Barnata, jeszcze częściej Józefa do niego, dopiero pod koniec książki poznajemy w starego nurka takim, jakim był w rzeczywistości.

Łączy się to z największą wadą książki: we „Wrakach” bardzo słabo, nieprzekonywająco rozwiązana jest sprawa roli partii i pracy politycznej wśród załogi. Słuszna skądinąd myśl, że praca jest głównym środkiem wychowawczym, zdaje się przesłać autorowi fakt, że w naszym kraju jedną z głównych dźwigni podnoszenia wydajności i jakości produkcji jest stała, systematyczna praca wychowawczo-uświada mająca partii, ZMP, organizacji masowych.

Wielką zaletą książki są doskonałe opisy pracy. Wystarczy przypomnieć scenę ratowania Grabienia przy zastosowaniu wynalazku Pałamarza. Widac tu wyraźnie wszystkie zalety meissnerskiego opisu. A więc wielka dynamiczność, duże napięcie, zawrotne tempo. I jednocześnie każdy taki opis pełni w akcji określona funkcję — odnawia nowy rys psychiki bohatera, posuwa akcję naprzód. Tę charakterystykę rozciągnąć trzeba także na opisy morza. Poznajemy je w czasie sztormu i w czasie ciszy, w dzień pochmurny i przy pełnym blasku słońca. Lecz szczególnie wstrząsające są opisy burz: morze przybiera w nich cechy groźnej, nienawistnej żywej potęgi, wobec której człowiek wydaje się bezbronna, słabą istotą. Na tym tle szczególnej wymowy nabiera wielkie zwycięstwo załogi „Posejdonia”.

Partie poświęcone pracy przy wydobyciu wraku należą więc do najmocniejszych kart powieści. Niestety! Meissner nie zdołał stworzyć konsekwentnie przemysłowego tła dla centralnego zagadnienia. Niedopracowaniem koncepcyjnym towarzyszą poważne usterki w przeprowadzeniu poszczególnych wątków, w kompozycji, ba, nawet w warstwie stylowej utworu.

Rozpatrzmy tu choćby sprawę zasadniczego wątku miłosnego: Teresa — Barnat, a następnie „trójka”: Teresa, Barnat, Grabień. Od samego początku dzieje się bardzo źle: płytko, powierzchownie potraktowana jest sprawa obudzenia się miłości Teresy, o tej miłości pisze autor w dodatku stylem zupełnie nieznośnym. Jest tam wszystko z rekwizytami trzeciorzędnych romanseid — nawet „serce roztrzępotałe w piersi jak ptak”. W dalszych częściach jest już inaczej, sprawy przybierają poważny obrót i autor wyraża dużo pomysłowości i taktu w rozwiązywaniu tego problemu. Cóż, kiedy jednocześnie budzi się ciagle w czytelniku natrętna, a na pewno przez autora nie zamierzona skojarzenie z „konfliktem uczucia i obowiązku”. Cóż, kiedy — jak to słusznie zauważyła pewna recenzentka — otacza naszą heroinę „aura właściwa „szlachetnym” bohaterom Rodziwiczom”. Wydaje się, że te niewątpliwie wypaczenia ciekawie skądinąd zarysowanego wątku mają swą przyczynę w zastępowaniu żywej, bepodstępnie zaobserwowanej prawdy psychologicznej wzorami nie zawsze najlepszej literatury.

Podsumujmy nasze rozważania. „Wraki” są pozycją wartościową przede wszystkim jako żywy obraz ciekawego środowiska i trudnej pracy nurków. Czy jednak tak „analizycznie” sformułowana problematyka książki zakłada brak w niej walorów estetycznych, światopoglądowych? Nie podobnego! Bowiem każdy ciekawy, porywający obraz pracy kolektywnej nosi w naszej współczesności znamie tego, co ważne, ogólne, zawiera największą prawdę czasu — prawdę zbiorowego wysiłku, „troskliwości robotniczej i wspólne”.

Kazimiera Bielska

Janusz Meissner „Wraki”, W-wa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, 1953 r., 419 str. — cena 18 zł.

(Dokończenie na str. 7)

# PRZEMÓWIENIE BOLESŁAWA BIERUTA NA ŚWIĘCIE MORZA



**O**BYWATELE! Mieszkańcy Polskiego Wybrzeża! Robotnicy i marynarze! Stocznicy i pracownicy portów! Żeglarze i rybacy! Wychowawcy i uczniowie szkół morskich! Załogi okrętów polskich na dalekich morzach i oceanach! Dziś w dniu dorocznego „Święta Morza” pragnę przekazać Wam gorące pozdrowienia w imieniu Rządu i narodu polskiego. Z całego naszego kraju płyną dziś ku Wam, pracownikom polskiego morza, uczucia serdecznej sympatii, braterskiej solidarności i uznania. Minęło 8 lat od chwili, gdy na 500-kilometrowe wybrzeże Bałtyku od Szczecina do Elbląga — po wielu wiekach rozłąki — powrócił prawy gospodarz polskiego Pomorza — polski lud pracujący. Od tej wielkiej, historycznej dla naszego narodu chwili, morze polskie, tak samo jak i cała ziemia polska od Bugu po Odrę i Nysę, stały się nierozdzielnie i zjednoczoną na zawsze z naszym życiem i naszą pracą, nieustraszoną ostoją bytu i rozwoju naszej Ojczyzny.

8 lat, które upłynęły od chwili wyzwolenia polskiego Wybrzeża przez bohaterką Armię Radziecką — to okres próbek, ale także pouczających i znamienitych!

Morze — to wielka i potężna droga, łącząca nasz kraj ze wszystkimi kontynentami. Uczymy się korzystać z tej drogi i w niedalekiej przyszłości będziemy z niej korzystać w bez porównania większym stopniu niż dotąd. Środkiem transportu i komunikacji na światowych szlakach morskich jest nasza flota dalekomorska. W porównaniu z okresem przedwojennym polska flota dalekomorska zwiększyła swój tonaż przeszło 3-krotnie. W ciągu następnych 7-8 lat nasza marynarka handlowa zostanie poważnie rozbudowana. Posiadamy dziś już własny przemysł okrętowy, którego przed wojną Polska nie miała. Dzięki pomocy naszych przyjaciół radzieckich nauczyliśmy się budować okręty różnego typu i wielkości. Nasze stocznie morskie zatrudniają już dziś blisko 26 tys. pracowników, z których poważną część zdobywa wysokie kwalifikacje zawodowe.

Polskie okręty handlowe kursują już i w coraz większej liczbie kursować będą w niedalekiej przyszłości regularnie na liniach żeglownych między Polską i portami krajów Europy, Ameryki, Azji. Po raz pierwszy w naszych dziejach mamy regularną komunikację między naszymi portami a portami wielkiego narodu chińskiego. Któż z nas nie rozumie, jak wielkie znaczenie posiada ten rozwój własnej żeglugi dla wzrostu sił gospodarczych naszego Państwa. Własna marynarka handlowa ułatwia również wymianę towarową z poszczególnymi krajami świata, co jest warunkiem wzrostu dobrobytu i możliwości całego społeczeństwa.

Żegluga morska — to wielka szkoła hartu, dzielności, bohaterstwa w walce człowieka z potężnym żywiołem mórz i oceanów. Około 15 tys. pracowników zatrudnionych jest już dziś w żegludzie i rybołówstwie morskim. Nasi, przede wszystkim młodzi, marynarze i rybacy dalekomorscy z niezwykłą ambicją i dzielnością wypełniają swe trudne zadania, z wielkim męstwem i honorem walczą o godność i sławę ojczystej

bandery. Cały świat podziwiał niedawno bohaterki wyczyn polskiej marynarki okrętów egipskiego. Do pięknych kart młodej żeglugi polskiej wpisanych już zostało wiele trudnych, wymagających niezwykłego hartu podróży, jak np. 2-krotna podróż polskiego tankowca „Karpaty” do Antarktydy i pionierskie podróże do krajów dalekowschodnich szeregu naszych statków handlowych. Polska Ludowa ma stuzę prawo do chluby ze swych kadr morskich, z wielotysięcznej rzeszy najofiarniejszych pracowników żeglugi, rybołówstwa, portów, stoczni.

Armie hitlerowskie ustępując z Wybrzeża, ze szczególną zaciekłością niszczyły miasta, zakłady przemysłowe, urzędnicy, drogi komunikacyjne i transportowe, mosty, wały, śluzę wodną, zalewając olbrzymie tereny wokół Gdańska, aby uczynić je nieużytecznymi na dłuższy okres czasu. Dlatego też odbudowa Wybrzeża wymagała wielkich środków i olbrzymiego wysiłku.

Tylko lud pracujący, wzięwszy w swe ręce władzę w Państwie, mógł pomyślnie dokonać tak potężnego dzieła. Doświadczenie minionych ośmiu lat potwierdza z całą wymową i mocą, że tylko dzięki zwycięstwu władzy ludowej, dzięki braterskiej pomocy narodów radzieckich — Polska zdołała w stosunkowo krótkim czasie opanować olbrzymie trudności i przeszkody, zabezpieczyć warunki szybkiej odbudowy i rozbudowy całego kraju.

W tych wysiłkach poczesne miejsce zajmuje rozwój polskiego Wybrzeża — wraz z przekształcaniem się w kraj nowoczesnego przemysłu Polska stała się równocześnie krajem morskim.

Państwo Ludowe przeznacza corocznie poważne sumy na inwestycje związane z pracą na Wybrzeżu, na rozbudowę i uzbrojenie w nowoczesny sprzęt stoczni, portów, na wzrost taboru, obsługującego porty morskie, na odbudowę zniszczonych miast, na elektryfikację osiedli w miastach i wsiach Wybrzeża, na ulepszenie komunikacji miejskiej i podmiejskiej jak również na urządzenia, służące zaspokajaniu potrzeb kulturalnych, zdrowotnych i materialnych mieszkańców Wybrzeża.

Głównym i najważniejszym zadaniem władzy ludowej jest troska o człowieka pracującego, o warunki jego pracy i jego bytu, o nieustanny wzrost jego kultury, jego świadomości politycznej, jego widnokręgu umysłowego.

Pragniemy pracować ze wszystkich sił, aby rosło i krzepło w nieustraszoną potęgę nasze Państwo Ludowe i aby rósł w nim człowiek pracujący — jedyny i prawdziwie oddany swej Ojczyźnie jej sprawiedliwy gospodarz. Aby rósł szybko w naszej Ojczyźnie nowy człowiek — szlachetny i twórczy, dumny z coraz piękniejszych plonów wspólnej pracy całego ludu pracującego.

Droga do wzrostu kultury i stopy życiowej całej ludności prowadzi poprzez uprzemysłowanie kraju i podniesienie kultury rolnej dzięki mechanizacji i zastosowaniu najnowszych zdobyczy agrotechniki. Czy mamy niezbędne warunki, aby stać się krajem wysoko uprzemysłowanym i nowoczesnym, krajem kвітучей kultury i rosnącego stale dobrobytu mas pracujących?

Niewątpliwie mamy takie warunki.

Naród polski w ciągu minionych 8 lat doświadczył, że jest narodem utalentowanym, młodym, pracowitym i pracowicie, zdolnym do uśpienia potęg przyrody twórczych. W każdej dziedzinie swej pracy — na lądzie i na morzu — polskie masy pracujące codziennie przekonywują się, że potrafią przetrwać i przetrwać i przetrwać i osiągnąć poważne zdobycze w swym marszu naprzód do lepszego życia.

Budujemy w Polsce Ludowej nowy ustrój społeczny — socjalizm. Wraz z narodami Wielkiego Związku Radzieckiego i pod jego przewodnictwem walczymy o to, aby trwał pokój między narodami. Umocniamy pokój, pogłębiając nieustannie szereg przyjaźni i współpracę braterską z narodami budującymi nowe życie. Równocześnie uznajemy możliwość pokojowego współzycia i współpracy narodów o różnych systemach społecznych. Nie chcemy mieszać się w wewnętrzne sprawy innych państw. Uważamy, że wszelkie spory i różnice w sprawach międzynarodowych mogą i powinny być rozwiązywane w drodze pokojowego porozumienia. Ale własnie w myśl tych zasad zachowujemy się najostrożniej wobec każdego faktu złośliwego naruszenia istniejących układów międzynarodowych, każdy fakt wrogiej prowokacji, każdą próbę napaści i podżądania do gwałtów, które muszą prowadzić do zaostreżenia napięć w stosunkach międzynarodowych.

Prowokacja berlińska zorganizowana przez imperialistycznych najmitów spod znaku Adenauera powinna być sygnałem ostrzegawczym dla wszystkich uczciwych ludzi. Rzuciła ona snop światła na rosnącą zachodnią ośrodków neohitlerowskich — rewizjonistycznych i militarystycznych w Niemczech zachodnich, które korzystając z błogostawieństwa swych możnych protektorów zmierzają ponownie do tego, aby narzucić całej Europie jarzmo hitlerowskich rządów ucisku i wyzysku w nowej masce, lecz o tej samej ponurej treści.

Odpór dany tej nikczemnej prowokacji przez masy ludowe Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która wytrwale dąży do zjednoczenia Niemiec na podstawach pokojowych i demokratycznych, przekreślił rachuby faszystowskich авантюристов. Prowokacja ta, podobnie jak zbrodnicze machinacje kliki lissymanowskiej w Korei i jej popleczników, staną się niewątpliwie bodźcem do tym większej konsolidacji wszystkich obrońców pokoju, do jeszcze większego wzniesienia fali ruchu na rzecz utrwalenia pokoju.

Wszystkie te wydarzenia są dla mas pracujących całego świata przestroją i wymagają jak największego wzmocnienia czujności przeciwko knoowaniom prowokatorów i dywersantów, przeciwko zbrodnicyzmi działaniom faszystowskiej kliki adenauerowskiej, usiłującej przeszkodzić dążeniom pokojowym narodów Europy.

Wbrew tym usiłowaniom reakcjonistów imperialistycznych i ich pacholików rośnie wciąż z nieopartą mocą wola narodów oklezniana podległości, rośnie i wzmacnia się walka narodów o zabezpieczenie pokoju.

Niezłomna zwartość i solidarność światowego rbozu pokoju, jego siła i prężność, są najlepszą rękojmią trwałego pokoju i bezpieczeństwa.

W odpowiedzi na ostatnie wydarzenia jeszcze mocniej wzburzymy swe szeregi w Froncie Narodowym, jeszcze bardziej zdecydowanie damy odpór wszystkim urogim knoowaniom, jeszcze bardziej zwiększymy swój wysiłek w pracy pokojowej dla rozkwitu naszej Ojczyzny.

Budujemy nową Polskę — wolną i szczęśliwą Ojczyznę ludu pracującego. Umocniamy nasze Państwo — nieustraszoną opokę naszej wolności i niepodległości, rękojmię nieustannego wzrostu dobrobytu i kultury mas pracujących. Nie lekamy się trudności, których jeszcze wiele musimy uśwatać ze swej drogi. Wiemy bowiem, że droga ta prowadzi nas niezawodnie do wielkiego celu, którym jest uśwatała i szczęśliwa przyszłość naszej Ojczyzny.

Marynarze, żołnierze, przodownicy pracy, młodzieży polski!

Cenna i zaszczytna jest Wasza służba strzegąca wolności naszego Wybrzeża i Wasza praca, wykonywana sławę polskiego morza. Naród polski z głęboką ufnością i miłością patrzy na Wasze wysiłki, na Waszą pracę i Waszą naukę. Naród nasz dumny jest ze stych osiągnięć, w których mieści się potężny wkład i Waszej pracy, Waszej ofiarności i poświęcenia.

Jeszcze mocniej wzburzymy swoje szeregi! W twórczej pracy nad umocnieniem polskiego Wybrzeża, nad opanywaniem i upekięszaniem polskiego morza niechaj nam towarzyszą coraz liczniejsze i piękniejsze sylwetki naszych polskich okrętów i statków!

Niech żyje i rozkwita nasza umiłowana Ojczyzna — Polska Rzeczpospolita Ludowa!



Nočný pochód manifestacyjny niemieckich bojowników wolności. Hasło: Pamiętajcie o 1933!...

## ALEKSANDER JAWICZ List z Niemiec

### »PRZECZYTAJ TĘ KSIĄŻKĘ!«...

Otrzymałem w tych dniach list od mojego niemieckiego przyjaciela, Ernsta P. z Düsseldorfu, z Niemiec zachodnich. Ernsta poznałem przed 12 laty w okresie niedoli, kiedy ja — Polak i on — Niemiec byliśmy więźniami obozu koncentracyjnego, do którego nas wepchnęli siepacze tej samej — über alles — hitlerowskiej władzy. Wiele upłynęło miesięcy od poprzedniego listu Ernsta. Łatwo mogłem sobie to milczenie wytłumaczyć, pamiętając o jego ostatnich słowach „przyszło przeżywać okres niemal taki, jak przed 1933 r.”. Wszak została przez Adenauera zdelegalizowana w zachodnich Niemczech VVN, Związek Ofiar Faszystów, którego ofiarnym członkiem i bojownikiem był Ernst. Nowy list Ernsta w dużym fragmencie podaje do druku.

**W**IDZISZ, mój drogi, raz jeszcze sprawdzisz się nasze wiersze „Unkraut verbirbt nicht” (co ma wiesieć — nie utonie). Ha, cóż! Wszak przyzwyczajają nas do wielu nowych rzeczy — na bardzo starą nutę! W naszych „federalno - demokratycznych” (dla ofdmiany) więzieniach samego tylko Düsseldorfu ponad 17 tysięcy aktywnistów Ruchu Obrońców Pokoju podlega znanemu procesowi „nawracania”. A głodna obdarta dzieciarnia na olbrzymich zyskach odpadków węglowych „organizuje” opał na zimę mniej więcej tak, jak myślimy „organizowali” go kiedyś w obozie koncentracyjnym. Zresztą baraki podobne do naszych są tu powszechnie znane jako jedyna kwatery dla robotniczej większości miasta i dla okolicznego chłopstwa, przeprowadzającego z miejsca na miejsce celem opróżnienia rozległych terenów, na których bądź to powstaje duża wojskowa obiekty, bądź też muszą być poligony dla „Shermanów”, no i naszej nowej Reichswehry, która nosi niewinną nazwę „Grenzpolizei”...)

Kiedy patrzę na to wszystko oczyma szczególnie ciekawymi, bo znów przez rok blisko odwyknęliśmy od oglądania czegoś więcej niż druty kolczaste i kraty wracam często myślą i do lat minionych i do naszych rozmów.

Pamiętasz jak zwykłym był kończyć nasze rozmowy zdaniem: „Mówię ci, przeczytaj kiedyś tę książkę! Zrozumiesz wtedy jeszcze więcej, zobaczysz nasze nielatywne dzieje w jeszcze bardziej wyraźnie zarysowanych kształtach, w całej ich nagości”. Między innymi zwracałem ci wtedy uwagę na mało znanego jeszcze u nas, a zupełnie zapewne nieznanego u was autora, syna bawarskiego pasterza Scharrera i jego „Vaterlandslose Gesellen”...)

Wiem ci wtedy o drodze pisarza, o jego procesie dojrzewania klasowego i politycznego — jakże trafnie demaskował socjal - demokratyczną zdradą w Niemczech Wilhelma i w Niemczech Weimarskich... Mówiłem ci o tym pisarzu po to, abyś poznał Niemcy inne od tych, jakie powszechnie znane były twemu narodowi na skutek bismarckowskiej polityki a potem wydarzeń roku 1939 i następnych. Czyniłem to tak samo, jak tyś zbliżał do mnie postepową, twórczą myśl polską.

Wracam dziś do tego tematu nie dlatego, by pytać, czyś przeczytał tę książkę. Być może nie pamiętałbym wcale o tym, gdyby nie ostatnia moja wymiana korespondencji z naszym wspólnym przyjacielem Hansem, przeżywającym dzisiaj, jak wiesz, w NRD. Hans przesłał mi jedną z dalszych rzeczy Scharrera „Maulwürfe”... Ta właśnie lektura odsławiła w mojej pamięci Scharrera. Radzę ci, przeczytaj tę książkę. Nie wiem, czy jest ona u was... Nana. Nie wiem, czy ukazała się w waszym tłumaczeniu. Dlatego poprosiłem Hansa, aby i tobie przesłał egzemplarz. Może byłoby dość trudno to uczynić...

Chciałbym, abyś poznał dzieje Brendlów i dzieje ślepego Bernarda, abyś mógł na podstawie tej książki, będącej dokumentem rewolucyjnej walki może bardziej niż literackiego piękna, wyrobić sobie dokładny sąd o linii podziału przebiegającej w naszym społeczeństwie od wilhelmowskich czasów przez hitlerowską Rzeszę aż do dni dzisiejszych! Ta książka bowiem mówi ci wiele i o tej rzeczywistości, w jakiej nam przyszło dziś znów żyć! A wydaje mi się, że obowiązkiem nas wszystkich, naszym i waszym, całego świata — jest jak najpełniejsze poznanie tej rzeczywistości!

\*) Polleja graniczna.  
\*\*) Towarzystwo bez ojczyzny.  
\*\*\*) Adam Scharrer — „Krety”. Czytelnik, 1953, Warszawa, przekład Wandy Kragen z przedmowa Marceliego Ranickiego, str. 390, cena 12 zł.

Scharrer poprowadził cię przez historię naszego narodu, naszej klasy robotniczej, naszych mas chłopskich, przez lata wahań i błąkan, słabości i skłócenia, wdzierającej się podłości i zdrady, ale nade wszystko szlachetności i cichego bohaterstwa, twardej walki o byt codzienny i sprawiedliwy ustrój społeczny pokazując te dzieje w charakterystycznym wycinku sytuacji wsi bawarskiej w latach pierwszej wojny światowej, potem w okresie kryzysu i latach międzywojennych — bez upiększeń, swolim stylem prostym a jedynym, stylem, któremu na imię niekłamana prawda! Unaczni ci on tę historię poprzez fakty i ludzi. Przemówi do ciebie prostym językiem pisarza wyrosłego z ludu, językiem jednego z twórców niemieckiej powieści proletariackiej, językiem człowieka, który w atmosferze czynnej walki poznawał jej sens, jej potrzeby, a w atmosferze klęsk warunki jej zwycięstwa. Pokaże ci Scharrer bezimiennego bohatera tych walk, jakim był biedniaki element chłopski, rzucający się w ówczesnym rozumieniu „z motyką na słońce”, podejmujący walkę z uciskiem politycznym i klasowym, pokaże ci dojrzewanie świadomości tego kolektywu do rewolucyjnego sojuszu z klasą robotniczą i przyczyni przejmowania faszysty metody przez sfery kulackie, obnaży przed współwórców faszysty — baronów von Eich. W ramach obrazu wioski czy powiatu potrafi uchwycić charakterystykę ogólnoniemieckich wydarzeń.

„Kiedy dziś czytam tę książkę, widzę w dzisiejszych dniach wzorajszą dzień! Ileż kreatur — jak Beck! Ileż chwiejnych i w gruncie rzeczy zdradzieckich jak Schrader! Iluż Engerlingów i Hanstenglów, iluż zagubionych Waszlów beładnie oscylujących między sumieniem a faszyzmem! Ileż podobieństwa w tym, co autor każe powieścić oslepiej ofierze wojny — Bernardowi: „Błyska i grzmi co dzień prawie. Długo to trochę trwa, ale zbiera się okrutna, ciężka burza. Jak ta burza się rozpęta, zrobi się huk taki, że niejedni pomyślą — Sodoma i Gomora... Jedynie tym, co zamknięci wokół mnie wówczas, kiedy dokoła mnie nastala noc, jedynie im zaudziejemy, że nie zmilczę dłużej. I także tym, których teraz ta sama banda zmusiła do milczenia...”

„Ale zmierz te podobieństwa z różnicą, jaką wnosił wynik II wojny. Kreatury zdrady zdradzają jeszcze bardziej jawnie, ale w jakich warunkach? Kiedy zbudzone zostało sumienie wszystkich narodów. Kiedy Światowy Oboz Pokoju ma busole, którą może się kierować w ocenie tego, co grozi ludzkości z zagładą, i tego, co otwiera perspektywę prawdziwie ludzkiego i pokojowego życia. Weź pod uwagę, że oslepiła ofiara wojny (wówczas I Bernard, kiedy dziś jako ofiara II wojny) mówi: „nie zmilczę dłużej” — mówi to w warunkach, kiedy faszystowski i niemiecki faszysty w pierwszym rzędzie zadał drugoczący cios Związek Radziecki, kiedy w wyniku tego zwycięstwa powstały demokracje ludowe, Ludowe Chiny, a w naszym kraju NRD. Niemiecka Republika Demokratyczna to siła, jakiej narodowi niemieckiemu brak było od czasów średniowiecza, aby do władzy, sprawiedliwego życia i szacunku u innych narodów doprowadzić jego masy ludowe — proletariaty w sojuszu z pracującym chłopstwem, aby na takiej zasadzie zjednoczyć naród, jako przyciaciela innych narodów, a nie pana nad nimi.

Czytaj, co mówił przed laty biedniak Hababuk. O ileż dziś jaśniejsza i ostrzejsza jest prawda, której się biedny, ciemny chłop wówczas dopracował. Dziś bowiem oprócz „swoich panów” widzi jeszcze na jeżdżące na połowie kraju, który z usług „jego panów” — zdrajców narodu — jawnie korzysta.

„Ze też to jest możliwe, że się ludzi zabija jak było z tej przyczyny, że jaśnie panowie podsuycją niezgodę i prosty lud sam na siebie uderza, nie patrząc kto bije. I własnie my, chłopci, zawieszmy wierzni temu, co nam mówiono, i harowaliśmy aż po dziś dzień i zawsze tylko dla innych... Niczym kret ryje chłop na swej odrobnie ziemi, a jak przetrza całe życie, nie posiada nic... A jak ktoś z nas to pojmie i mówi innym, kto nas dusi za gardło, to wleźmożni panowie znajdą zarutek... (Dokończenie na str. 7)

## P. NAUMOW

# Jak przygotowawano prowokację berlińską

(Korespondencja z Berlina)

Fakty świadczą, że berlińską prowokację agencji zagranicznej przygotowywali od dawna. Już w sierpniu 1950 roku w bostkim „ministerstwie do spraw ogólnoniemieckich” odbyła się tajna narada, zwołana przez ówczesnego amerykańskiego wysokiego komisarza w Niemczech zachodnich, Mac Cloya. Jak donosiła demokratyczna prasa niemiecka, na naradzie tej został wypracowany plan działalności wytorowanej przeciwko NRD. Major amerykańskiego wywiadu nadający ton naradzie, F. Rushberg, zażądał przeprowadzenia dywersji we wszystkich życiowo ważnych dziedzinach w NRD — „Nie będziemy szczeni milionów dla walki z państwem wschodnio-niemieckim” — oświadczył ten oficer amerykański.

Były to czasy, gdy młoda NRD z sukcesem kończyła realizację dwuletniej odbudowy gospodarki narodowej. Osiągnięcia NRD wywołały wściekłość w obozie wrogów jednoci Niemiec. Już wtedy było dla nich jasne, że umacniają się gospodarzo i politycznie NRD staje się oporą w walce narodu niemieckiego o pokój w Europie, o zjednoczone, demokratyczne i pokój miłujące Niemcy.

Wszystkie siły reakcji zachodnio-niemieckiej rzucano do przygotowania zakrojonej na szeroką skalę dywersji, mającej na celu sparaliżowanie gospodarki NRD, wywołanie chaosu i nieporządku. „Ministerstwo do spraw ogólnoniemieckich” kierowane przez Jakuba Kaisera stało się sztabem przygotowywania tej dywersji.

„Ministerstwo” Kaisera wybrało za główną bazę swej przestępczej działalności Berlin zachodni. Od samego początku kierownictwo tego ośrodka zaczęło szykować się do „wielkiej akcji” wychodzącej z ram codziennych drobnych dywersji rozrzucając prowokacyjnych ulotek itp. „New York Herald Tribune” z 19 grudnia 1951 r. informował, że kierownik jednej z grup terrorystycznych, Tillich, oświadczył: „Na razie nie możemy wziąć na siebie odpowiedzialności za nawoływanie do strajków, lub innych rodzajów jawnego buntu. Jednakże jesteśmy przekonani, że taka akcja przejdzie czy później będzie możliwa i konieczna. Politycznie kierownictwo powinno ustalić termin, kiedy można będzie liczyć na powodzenie”.

Agentów przetrzucano do NRD z Niemiec zachodnich i z zachodniego Berlina, a niektórych werbowano na miejscu. Wiosną ubiegłego roku został utworzony nowy organ dywersyjny - szpiegowski, który nazwano „Radą badawczą do zagadnień zjednoczenia Niemiec”. Na czele „rady” stanęły wielkie asy finansowo - przemysłowe, szczególnie spośród tych przestępców wojennych, których majątki na terenie Niemiec wschodnich przeszły w ręce ludu. Przewodniczącym „rady” został Friedrich Ernst, który za czasów Hitlera był „komisarzem do spraw niemieckiej własności zagranicą”. Innym członkiem rady badawczej został Spannart, członek nadzorczych 20 wielkich monopol zachodnio-niemieckich.

Zachodnio-niemiecka burżuwajna gazeta „Aachener Nachrichten” w marcu ul. r. pisała: „Ogromna jest liczba opłacanych z zagranicy gangsterów operujących w Berlinie zachodnim. Berlin zachodni jest zbiorem przestępczych elementów, będących posłusznym narzędziem zagranicy i otrzymujących wynagrodzenie Judasza”.

Fakty wskazują, że w NRD była z góry utworzona sieć szpiegów i prowokatorów, a w zachodnim Berlinie bandy pogromców i mordców oczekiwwały sygnatu by wdrzeć się do demokratycznego sektora miasta. Sygnal ten był dany na krótko przed zajściami, które miały miejsce 17 czerwca w Berlinie.

Nie przypadkowo 14 czerwca do Berlina zachodniego przybył szef osobistej kancelarii Adenauera, Lenz. Nie przypadkowo też 17 czerwca do Berlina zachodniego zawitał Jakub Kaiser.

17 czerwca na ulicach Berlina wśród rozwydrzonych band faszystowskich tu i ówdzie pojawiły się samochody z amerykańskimi znakami rejestracyjnymi, a przez megafony nadawano rozkazy dla tych band. Amerykańska radiostacja w Berlinie zachodnim „Rias” przez całą dobę nadawała wskazówki dla prowokatorów. Są to niezbite fakty.

Rozpoczynając faszystowską awanturę w Berlinie, wrogowie pokoju usiłowali stoperdować posunięcia rządu NRD, dążące do ułatwienia osiągnięcia porozumienia między wschodnią a zachodnią częścią Niemiec. Jak podaje „New York Times”, posunięcia te wywołały „zamieszanie i popłoch w szeregach koalicji rządowej Konrada Adenauera”.

Bojąc się jak ognia perspektywy pokojowego zjednoczenia Niemiec na zasadach demokratycznych, kół militarystyczne uciekły się do awantury, nie licząc się z jej skutkami dla narodu niemieckiego. Ale wrogowie pokoju ponieśli haniebną klęskę. Ludność NRD w jeszcze bardziej zwarty sposób jednoczy się wokół swego rządu i jest zdecydowana odepierać wszelkie prowokacje wrogów jednoci swej ojczyzny.

P. Naumow

WOJCIECH BREOWICZ

## PRZESTĘPSTWO PERKOWSKIEGO

(Opowiadanie o współczesnych losach emigrantów polskich w Brazylii)

**S**PALIL się tej nocy magazyn kolejowy — zaczął dobrze odzywny Hermes, bogaty hurtownik, rozpiekając się przy stole, na którym tkwiły dwie butelki piwa.

Antonio, chuderlawy nauczyciel, do którego te słowa były skierowane, przysunął się z krzesłem bliżej stołu i spojrzał spokojnie na Hermesa.

— Czytałem o tym w prasie. Zresztą widziałem pożar przez okno. — Słyszał pan detonację? Szybko u mnie dygotały. Szkoda takiej ilości dynamitu. Uszkodziło poza tym kilka sąsiednich budynków — objaśniał hurtownik, zaplajając jasnym piwem szacowne wyrazy sentymentu.

— To jest głupstwo, a nie żadna szkoda dla tak bogatej kompanii! — odrzekł Antonio, biorąc do ust pierwszy łyk piwa, którego zresztą nie lubił. Nie pija on żadnych trunków i nie włożył się po barach. Dzisiaj zasiedział się po obiedzie nad gazetą. Nadszedł hurtownik z sąsiedztwa i potoczyła się rozmowa.

— Pan plecie! Wygląda, jakby pan popierał sabotażystów, czy innych ukrytych wrogów!

— Nie wiem, czy macie między sobą sabotażystów, bo prasa nie o tym nie wspomina!

— Prasa! A cóż prasa może wiedzieć?

— Właśnie, że wie i to bardzo dużo, bo przecież sprawozdaniem z pożaru poświęciła całe spalony. Opisała nawet, jak to piomienie ładnie igrały z wietrzykiem! To ci jest prasa! I niech pan patrzy, jak oni dowcipnie dmuchają po piórku w bambus tej kompanii!

Hermes przy tych słowach bladł i zieleniał, starał się śmiać, ale mu się twarz krzywiła, bo przecież należał on do głównych akcjonariuszy tej prasy, o której taki oto obszernie nauczyciel wyraża się w sposób tak pogardliwy.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że pan jako nauczyciel rządowy powinien zajmować lojalne stanowisko wobec naszej prasy!

— Jestem zupełnie lojalny wobec „waszej prasy“ i na dowód tego stwierdzam, że nigdy, nigdy nie rozpisyje się ona o pożarze biednego osadnika, czy rancho kabokla w lesie. Gazety stałe czytuję, ale nigdy nie czytałem o pożarach dobra leśnych ludzi.

— Pan ma dziwaczną wymaganie! Redakcje według pańskiego zdania powinny wysłać korespondentów z aparatami fotograficznymi aż gdzieś — powiedzmy nad Rio dos Mortos, czy w Sierra do Mar, po górach, dziurach i bezdrożach, aby zbadać in loco plac spopielony, gdzie kilka dni temu stało marne rancho kabokla. Dziwne pretensje!

— Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że to rancho stanowiło cały majątek kabokla? — Antonio św-

drował lekceważącym wzrokiem Hermesa.

— Majątek! To ci majątek! Nędza i smród! — wybelkotał hurtownik.

— Pięknie się pan wyraża o mieszkaniu obywatela Brazylii!

— Obywatel! Kapiwara...

— Obywatel taki sam, jak i wszyscy inni urodzeni w tym kraju! —

— Ładnie wyglądałaby Brazylia, mając tylko takich obywateli! —

— Wiec pan zalicza do grona obywateli tylko bogaczy... Tak, bogaczy... Kaboklo więc należy do klasy niewolników? Ciekawe tylko, kto by produkował i kupował wasze artykuły, gdyby „diabli wzięli tych niewolników“?

— Dziwię się, że pan trzyma stronę tego chłama... Po co to panu? — zapytał wykrętnie hurtownik.

— Trzymam za sprawiedliwość, nie za „chamstwo“, o którym pan wspomina, a jeżeli istnieje „chamstwo“, to tylko po stronie przeciwniej!

— Nie rozumiem, o jaką sprawiedliwość panu chodzi?

— Sprawiedliwość jest tylko jedna!

— Jaka?

W tym momencie wszedł kierownik samochodowy z trzema pomocnikami.

— Tak, tak, sprawiedliwości, bo będzie źle!

— Słyszał pan, co ludzie mówią? — wyrzekł Antonio.

— Hołota! Sprawiedliwości im się zachciewa! I nawet grozą! Sprawiedliwości! I to takiej, o jakiej tu pan głęzi... Ho, ho! To nie jest żadna sprawiedliwość, bo nie pochodzi z prawa!

— Ależ to jest sprawiedliwość wywodząca się z głębi samej sprawiedliwości, nie z waszego „prawa“, które jest tylko bezprawiem, a raczej — prawem ludzi bogatych, którzy przy pomocy tego „prawa“

uciskają biedaków, wyrzucają nędzę leśną z dawno zajmowanej ziemi, palą ich szalasy, strzelają do ludzi jak do dzikich zwierząt!

— Nie rozumiem określenia „wasze prawo“. To chyba znaczy, że to samo prawo dzieli się na kilka części: dla nas posiadaczy, dla was niby biedniejszych i wreszcie dla najbiedniejszych — chłopów i robotników. Przecież to nonsens!

— Nonsens?... Podniesiono wam odrobinę podatki... Zebrałście się, przedłożyście władzom odpowiednią rezolucję i bez krzyku podatki obniżono... Druga strona medału: w czasie demonstracji żywnościowo - drożyznianych stanęłam na czele jednej grupy kobiecej. Napadnięto nas. Mnie obito do nieprzytomności palcami, trzymano trzy tygodnie za kratami. Wypuścili mnie dopiero wtedy, gdy mogłem o własnych siłach wstać z cementowej podłogi. O patrz pan, widzisz tu złamaną kość nosową? Po wyjściu leczyłem się przy pomocy samych biedaków... Bo tylko biedny rozumie biednego! Dobrze, że działo się to w okresie wakacji, więc nie straciłem pracy... Pytam się, czy wasze prawo dopasowano do ludzkich wymogów sprawiedliwości, jeśli chodzi o jego stosunek do mojej osoby i tysięcy innych podobnych mi obywateli? Myśmny przecież szli ta samą drogą do Pałacu! Pytam, gdzie to prawo?

— Pan i podobni prowodyrzy stanęli na czele band burzycielskich. My wysłaliśmy tylko delegację...

— Pięć razy chodziła nasza delegacja. Nie było żadnych band. Przyjęto, poklepano, obiecano... Stosunki zamiast się polepszyć, uległy pogorszeniu. Wystąpiły masy pędzone rozpacz! I wtedy to ulamek złamanego przez was prawa konstytucyjnego kazał głodnych ludzi bić, wzięć i jeszcze więcej gwałcić! Był to ulamek „prawa“ za-

stosowany ściśle tylko do biedoty! Prawo i sprawiedliwość dla biednych? Śmieję się pan!

— Musi być porządek! — rzucił rozjuszony Hermes.

— W objęciach głodu, nędzy i braku dachu nad głową, jakby po jakiejś wojnie! — uniósł się Antonio.

Hermes zgrzytał zębami z wściekłości. Wreszcie mruknął jak tygrys: — Tu was boli! Chory sen o luksusach!

— Nie myślałem o luksusach pana. Tu chodzi o polepszenie warunków bytu — o wyrugowanie głodu! Za pracę należy się sprawiedliwe wynagrodzenie, ludzki kąt mieszkalny i taniósć artykułów codziennego użytku! Skąd ta drożyzna i brak takich lub innych produktów?

— Bo nie mamy własnych, albo zboże nie obrodziło!

— Po co nasze zabierają Amerykanie?...

— Bo trzeba nam na uzbrojenie! — Do walki z uciemiężonymi masami!

— Znowu pan plecie! ?

Antonio sięgnął powoli do kieszeni i wyciągnął w dziesięciocro złożoną kartę gazetową, kładąc ją na stole tuż pod czerwonym nosem pana Hermesa:

— Oto piękny dowód, a jest ich tysiące! — rzekł.

— Szmata komunistyczna! — syknął przez zęby Hermes.

— Nieprawda! Jest to kartka z konserwatywnej „Gazeta do Povo“ (26.7. 1952 r.). Niech pan wysłucha jak człowiek!.. bo gazety pisują dla ludzi — rzekł spokojnie Antonio, podnosząc kartkę.

Hermes zagryzał zębami. Antonio zaś czytał:

— Moją zbrodnią jest przekształcenie kawałka dzungli w osadę. Ja, stary emigrant polski, Antoni Perkowski, 65 lat życia... otrzymałem od stanowego rządu 42 akry dzikiej puszczy nad rzeką Corrego

zbrodnią moją jest przekształcenie kawałka dzungli w chlebowe osiedle! Czy za moją pracę i krwawy znoj znajduję sprawiedliwość? Czy władze uniemożliwiają wydarły mi podstępnie a... kupna - sprzedaży? Nie wierzę, bo jestem biedakiem, a dla takich nie ma sprawiedliwości!

— Tyle opowiadział przekrzywzony Perkowski. Co pan na to?

— Znajdźcie sobie inną ziemię, pójdźcie głębiej w lasy i nikt go tam nie znajdzie!

— Nie znajdzie nowej ziemi, bo już za stary i zbyt mocno uderzony. Pokrzywdzili go najmiej fałszerów i innych oszustów, przeciwników którym ktoś zastępuje jakie takie prawo, skoro „prawo to oni“ — ich wpływy, pałki i kule! — mówił mocno zirytowany nauczyciel.

— A cóż ma prawo do tych rzeczy?... Mogł się pilnować — ciemięga! Pan się czepił tego prawa...

— Prawo — i tylko prawo! Notariusz był wyraziście prawa w toku sporządzenia, względnie podpisywania dokumentu. Jako wyraziciel tego prawa winien był poinformować ciemnego i zahukanego osadnika, aby nie podpisywał żadnego aktu przed odbiorem pieniędzy! Kto zresztą wie, czy sam notariusz nie należy do szajki oszarduszy i złodziei? — rzekł z przekonaniem Antonio, chowając do kieszeni wycinek z gazety.

— Rzeczywiście... pan ma tyle kłopotu! — rzekł zjadliwie Hermes.

— Jest to kłopot, należący zarwano do mnie jak do każdego uczciwego obywatela, bo chodzi tu nie o jednego, ale o tysiące Perkowskich, którzy od początków historii tego kraju pustoszy życie spokojnego mieszkańca — a zawsze pod płaszczykiem jakiegoś „prawa“, przez którego jaguar się przebijają, a sarkura wpada!

Pan Hermes płacił tymczasem rachunek i mrucał jakby sam do siebie:

— Gdyby mniej opiekunów... mniej opiekunów... — Wstał i potoczył się w stronę samochodu.

Mocno przygnębiony Antonio skierował się ku wyjściu rzucając za odjeżdżającym:

— Do czasu, jasnie panowie — do czasu...

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz



da Cadadeira w municypium Astorga. Działo to przed 15 laty. Rąbałem dzunglę z podratującymi dziećmi, pracowałem całym dniami i nocami, byle z dzikiej dzungli uczynić pola chlebowe.

— A... będzie tu pan zanudzał głupstwami! — przerwał pan Hermes wcale niemilej historii.

— Na takich to „głupstwach“ trzeba budować istotę prawa! — odrzekł Antonio i czytał dalej:

— Powoli rozbudowałem się nad Corrego. Z szalasu przeniesiłem się do lepszej zagrody. Wybudowałem drogę przez dzunglę do świata. Kto znał te okolice przed 15 laty, ten do dzisiaj jeszcze drży przed jej okropnościami. Ale chłop polski nie zna tego, co inni strachem nazywają. Była ona bardzo odległa od jakiejś takiej c. wilizacji, różne choroby, obfitość drapieżników. Nie brakowało i band napastniczych, gorszych od zwierząt! Byłem przy czółkiem mostowym, ku któremu powoli zaczęły zbliżać się pojedyncze osiedla, postępując szlakiem wyrąbanej przeze mnie drogi. Ale ja z rodzinną wytrwałem w ciągu 15 lat jako awangarda w najdalszej głębi leśnej na dalekiej Północy naszego Stanu!

„Pewnego dnia zjawili się u mnie kilku dostatnio ubranych panów i wyrazili chęć kupna terenu. Czuliem się już przemęczony. Pałców nie mogłem wyprostować, by krzepko trzymać fojse lub topór. Zona i dzieci były również bardzo wyniszczone. Dokuczał nam klimat. Postanowiłem więc sprzedać posiadłość i złożyć jakieś takie gniazdo gdzieś w pobliżu miasta, by móc spokojnie przeżyć resztę dni i dać dzieciom trochę ogłady. Po kilku tygodniach zostałem wezwany do urzędu hipotecznego w Astorga celem podpisania aktu kupna-sprzedaży i odbioru ugodzonej kwoty. Po podpisaniu dokumentu kupcy oświadczyli, że muszą jechać z nimi do odległego Sao Jeronimo, gdzie mieli mi wręczyć pieniądze. Pojechałem w Sao Jeronimo nabywcy ulotnił się na zawsze uwożąc ze sobą podpisany dokument. Nie otrzymałem ani centawa! Popędziłem przygodnym samochodem do Londryny, zawiadomiłem władze, następnie pojechałem do stolicy Stanu, aby przedłożyć skargę najwyższym czynnikiem. Bo

zbrodnią moją jest przekształcenie kawałka dzungli w chlebowe osiedle! Czy za moją pracę i krwawy znoj znajduję sprawiedliwość? Czy władze uniemożliwiają wydarły mi podstępnie a... kupna - sprzedaży? Nie wierzę, bo jestem biedakiem, a dla takich nie ma sprawiedliwości!

— Tyle opowiadział przekrzywzony Perkowski. Co pan na to?

— Znajdźcie sobie inną ziemię, pójdźcie głębiej w lasy i nikt go tam nie znajdzie!

— Nie znajdzie nowej ziemi, bo już za stary i zbyt mocno uderzony. Pokrzywdzili go najmiej fałszerów i innych oszustów, przeciwników którym ktoś zastępuje jakie takie prawo, skoro „prawo to oni“ — ich wpływy, pałki i kule! — mówił mocno zirytowany nauczyciel.

— A cóż ma prawo do tych rzeczy?... Mogł się pilnować — ciemięga! Pan się czepił tego prawa...

— Prawo — i tylko prawo! Notariusz był wyraziście prawa w toku sporządzenia, względnie podpisywania dokumentu. Jako wyraziciel tego prawa winien był poinformować ciemnego i zahukanego osadnika, aby nie podpisywał żadnego aktu przed odbiorem pieniędzy! Kto zresztą wie, czy sam notariusz nie należy do szajki oszarduszy i złodziei? — rzekł z przekonaniem Antonio, chowając do kieszeni wycinek z gazety.

— Rzeczywiście... pan ma tyle kłopotu! — rzekł zjadliwie Hermes.

— Jest to kłopot, należący zarwano do mnie jak do każdego uczciwego obywatela, bo chodzi tu nie o jednego, ale o tysiące Perkowskich, którzy od początków historii tego kraju pustoszy życie spokojnego mieszkańca — a zawsze pod płaszczykiem jakiegoś „prawa“, przez którego jaguar się przebijają, a sarkura wpada!

Pan Hermes płacił tymczasem rachunek i mrucał jakby sam do siebie:

— Gdyby mniej opiekunów... mniej opiekunów... — Wstał i potoczył się w stronę samochodu.

Mocno przygnębiony Antonio skierował się ku wyjściu rzucając za odjeżdżającym:

— Do czasu, jasnie panowie — do czasu...

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

Wojciech Breowicz

JAN KOPROWSKI

## WIERSZE OPOLSKIE

I.

Ziemia opolska, tobie śpiewam,  
dla ciebie składam moje strofy.  
Pochwalam miasta, rzeki, drzewa  
i ręce ludzkie, i kilofy.

Nad wiekiem przesyłam pochylony  
twe bohaterskie czytani dzieje.  
Piękni tu ludzie żyli. Oni  
wiodą nas w przyszłość, która dnieje.

Któż z nas, opolska ziemia, nie zna  
synów i cór twych. Kto ich zliczy?  
Jak gwiazda świeci chłop z Oleśna:  
Minkus i Marek z Jemielnicy.

II.

Ziemia opolska, śpiewam dzisiaj  
twój trud codzienny, pracę twoją.

Człowiek w spółdzielczy zagon wysiał  
ziarno, co wszędzie dla pokoju.

Wśród załóg cementowni, fabryk  
przyciął mam i znam ich troski.  
Wznoszą powszedni dzień i każdy  
serce oddaje sercu Polski.

Pozdrawiam, ziemia, twoją młodzież —  
częste do siebie piszemy listy.  
Z nich jak zapowiedź słońca o wschodzie  
przysłodzi błyska blask promienisty.

III.

Wiosna złą zimę, przyjaciele,  
jak jeźdźca wysadziła ze strzemiem.  
I żyć już pięknie, i marzyć śmiejąc,  
ziemia opolska, ojezsta ziemia.

WOJCIECH DRYGAS, IGOR SIKIRYCKI

## PRZYSZŁA KRYSKA NA MATYSKA

(Ten sam co i poprzednio sklep GS. Za ladą siedzi Zosia).

Otwierają się drzwi — wpada kierownik z książką w ręku.

Kierownik: Oszust! Zwyczajny oszust! Mnie, starego wróbla, chciał nabrać. Ale nie uda ci się, gagatku, bom czujny i oczyszczony w dobrej literaturze. Już ja ci pokażę...

Zosia: A o kim pan kierownik mówi? O kim?

Kierownik: Zaraz dokumentnie wyjaśnię... Tak jak pannie obiecywałem, całą noc spędziłem nad tą książką Gogola. Ale opłaciło się to czytanie, opłaciło się sownie...

Zosia: Strasznie ciekawam...

Kierownik: (z przejęciem) Horodniczy, niby ten ich soltys, to zastosował taką taktykę: jak już poczuł, że z tym rewizorem dalej nie ujedzie i że wszystkie kombinacyjki wylazły jak sztydło z worka, zwołał odprawę wszystkich swoich przyjaźni. Na tej odprawie uchwalono zafundować rewizorowi o biadek, wsunąć mu zespolowo do kieszeni parę tysięcy i podsunąć w łapy córce khorodniczego. Ten rewizor był bardzo kontenty, każdemu tam coś obiecał i pojechał do domu. Dopiero wówczas wybuchła bomba! Wie panna Zosia, co się stało? Ten rewizor, to nie był żaden rewizor, jeno zwyczajny oszust i drań, bo uczciwymi ludźmi nabierał. Wykorzystał ich i tyle go widzieli!

Zosia: Tak stoi w tej książce?

Kierownik: (bije się w pierś) Kłnę się w żywe kamienie! Jakem przeczytał tę książkę, tom od razu wyczuł pismo nosem...

Zosia: Jakie pismo?

Kierownik: No, to z powiatu, co mam wczoraj przysłał, niby o przyjeździe tego rewizora... Od razu wszystko wydało mi się mocno podejrzane. Bo niech panna Zosia sama zobaczy (wyciąga z kieszeni pismo). Kto to pismem podpisywał? Kto? Prezes Koziołek?

Zosia: (kręci głową) To nie on... Kierownik: A widzi panna! Jakis obcy podpis, nieczytelny, z zakreślasem. A przecież dotąd wszystkie pismka podpisywał sam prezes. Prezes Koziołek nie robi zakreślasów...

Zosia: Jasne, że nie robi...

Kierownik: To zwyczajny oszust.

Falszywy rewizor, panno Zosiu! Chce nas wykorzystać i fiut... Trzeba teraz ułożyć plan działania, żeby nas nie wykłuiwał...

PROF. DR. WŁADYSŁAW HERMAN

# Wspólnie kudemmy socjalistyczne rolnictwo

**D**AWNIEJ, w okresie wszechwładzy kapitalizmu w naszym kraju, na drodze rozwoju zootechniki leżały przeszkody społeczno - ekonomiczne i organizacyjne. Dawniej prywatny właściciel, dziedzic na folwarku, czy kulać, stosował się do wskazań i zaleceń nauki tylko o tyle i tylko wtedy, kiedy sami chcieli. O postępowaniu ich nie decydowało dobro kraju lecz zysk osobisty.

Musimy jednak przyznać, że również wielu naukowców nie rozumiało wówczas znaczenia i potrzeby współpracy z terenem. Zamknięci w swoich laboratoriach żyli oni zapatrzeni w oderwane od życia, częstokroć pozbawione praktycznej wartości, swoje teorie.

Dzisiaj zniknął już u nas ten typ naukowca odcinającego się od zagadnień realnego życia murami swego laboratorium i szklami swych mikroskopów. Dziś wzorem są dla nas tacy uczeni jak Miczurin, Lysenko, Iwanow, Dawydow, Bogdanow i inni naukowcy radzieccy. Laboratorium dla nich to szerokie łany i pastwiska kolchozów czy sowchozów, oraz stajnie, obory, chlewnie, owczarnie i kurniki ferm hodowlanych.

Najważniejsze tematy opracowywane przez tych uczonych to zagadnienia na wskroś praktyczne, jak przeniesienie uprawy ziemniaka na poludnie Ukrainy i na Krym, czy aklimatyzacja szlachetnych odmian drzew owocowych aż prawie pod północnym kołem podbiegunowym, jak tworzenie górskich ras owiec cienkornych — kaukaskich merynosów, czy rekordowej rasy mlecznej bydła w Karawajewie, jak opracowanie nowych, lepszych metod rozplodu i wychowu zwierząt hodowlanych, to nowe kierunki w nauce żywienia. I u nas zrozumienie konieczności przyjęcia takiej postawy wobec życia staje się coraz powszechniejsze.

Zootechnika walczy o wzrost wydajności zwierząt, walczy o to, aby krowa dawała więcej mleka a świnia więcej tusz i mięsa, aby koń mógł wykonywać większą pracę. Cel ten można osiągnąć tylko przez planowe oddziaływanie na zwierzęta, przez rozwijanie w nich większej produktywności.

Owce to jedno z głównych źródeł utrzymania naszych górali. Jakże jednak mało wydajny, jak mało produkcyjny jest nasz cakiel podhalański. W twardych, niewykorzystanych warunkach bytu cakiel zdobniał, sprymitywniał. Ciślar dorosłej sztuki tej rasy częstokroć nie dochodzi nawet do 30 kg, roczna wydajność grubej, prymitywnej wełny nie przekracza w dwu strzyżach 2 kg. Góral nie mógł udoić od swojej owcy w roku więcej niż 40 do 45 litrów mleka. Hodowla takiej owcy nie mogła przynieść rolnikowi większych korzyści.

Liczne przedwojenne próby uszlachetnienia cakiela podhalańskiego zawiodły. Dopiero po wojnie, Rząd Polski Ludowej stworzył prof. M. Czaji w Grodźcu Śląskim warunki wytworzenia nowej, wydajnej rasy owiec podgórskich dla Karpat i Sudetów. W oparciu o doświadczenia radzieckie, drogą umiejętnie dobranych krzyżówek i odpowiednich warunków wychowu wytworzono w Grodźcu nowy typ ulepszonej wydajnej owcy górskiej. Owca nowego typu osiąga ciężar 50 — 60 kg, przy wydajności 6 — 8 kg wełny rocznie przy mleczności, po odsadzeniu jagniąt, jeszcze 120 litrów mleka o 6,5 proc. tłuszczu. Już tych parę liczb dostatecznie podkreśla osiągnięty postęp.

Dziś hodowcy - praktycy z coraz większą ufnością zwracają się do przedstawicieli nauki o pomoc i poradę. Praktycy nie uważają już naukowców za nadętych swą wiedzą medrków, oddzielających się od świata w osobną kastę, lecz traktuje ich jako towarzyszy, pragnących podzielić się z nim i pomóc mu swą wiedzą i doświadczeniem. Naukowcy zaś, ze swej strony nie gardzą żadnym i obserwacjami praktyka. Wiedzą oni, ile prawdy może leżeć w spostrzeżeniach najmłodszej nawet dojarki.

Dziś studenci, asystenci i profesorem wyższych uczelni coraz częściej wyjeżdżają w teren do państwowych gospodarstw rolnych i do spółdzielni produkcyjnych. Obserwują tu oni, uczą się, zbierają doświadczenia ale także i tematy wymagające opracowania. Równocześnie pomagają i udzielają porad czy wskazówek praktycznych. Uczelnialne rolnicze biorą pod opiekę poszczególne spółdzielnie produkcyjne, pomagają spółdzielcom w hodowli, uczą jak należy pielęgnować i żywić zwierzęta. Tu również mogą w skali produkcyjnej sprawdzić słuszność swych założeń, opartych na wnioskach z pracy laboratoryjnej.

Najbogatsza szkoła w najbogatym kraju kapitalistycznym nie mogłaby dać swoim pracownikom dziesiątków tysięcy sztuk bydła, koni, owiec czy świń jako okazów do doświadczeń czy chociażby nawet obserwacji. A my dziś te dziesiątki tysięcy mamy. Nasze obserwacje nie ograniczają się dziś do zwierząt większej lub mniejszej obory w gospodarstwie doświadczalnym. Przed nami stoi obwozem, nam pomagaj, w pracy, wieloletnie doświadczenie zootechników-prak-

tyków, całe długie nieraz, owocne i pracowite życie spędzających w swym umiłowanym zawodzie. To doświadczenie dopiero teraz może być w pełni wykorzystane przez naszych zootechników - naukowców.

Nieraz do naszych Zakładów Naukowych i Naukowo-Badawczych przyjeżdżają wycieczki spółdzielców, robotników PGR, służby zootechnicznej i naukowców a nawet goście zagraniczni. Wszystkich przyjmujemy chętnie, nawiązujemy kontakty, dzielimy się spostrzeżeniami. Najmilsze dla nas są jednak zawsze wycieczki młodzieży, członków spółdzielni produkcyjnych i członków brygad hodowlanych w państwowych gospodarstwach rolnych. Rozmowy z praktykami dają nam bezpośrednią, prawdziwą ocenę wartości naszych prac doświadczalnych i naszych badań. Jakże często uwagi wypowiediane przez zwiedzających i ich zapytania pomagają nam w rozwiązywaniu trudnych problemów, przyczyniają się do pogłębienia ujęcia albo do właściwego ustalenia tematu. Nieraz dopiero po rozmowie z grupą praktyków odwiedzających zakład naukowy, udaje nam się we właściwy sposób naświetlić jakies trudne zagadnienie naukowe. Rzecz jasna, że wycieczki takie i dorywcze rozmowy nie mogą być prowadzone bezplanowo, rozbiłaby to normalny tok pracy zakładu. Nie mogą też one być jedyną platformą wymiany myśli. Stąd wartość i znaczenie „otwartych” sesji naukowych. Na zebraniach takich, zwolonych w celu pogłębienia określonego tematu, zagajanych jednym lub kilkoma referatami wprowadzającymi, toczy się swobodna dyskusja nad najważniejszą w danym czasie

grupą zagadnień. Taka wymiana myśli przynosi duże korzyści zarówno praktykom, pełniącym różne funkcje, zajmującym stanowiska na wszelkich szczeblach procesu produkcyjnego, jak i naukowcom, przez skonfrontowanie z życiem założeń i osiągnięć ich pracy badawczej. Gdy więc w gazetach czytamy, że w dniu 8 czerwca odbyła się we Wrocławiu Sesja Naukowa na Wydziale Zootechnicznym WSR to wiemy, że nawiązane zostało nowe ogniwo współpracy pomiędzy nauką a praktyką.

Dalsze formy współpracy to książki fachowe, czasopisma, film i pogadanki radiowe. Wszędzie bezpośrednio współpracownikami, współpracownikami są naukowcy i praktycy. Nigdy u nas tak szeroko nie współpracowali jeszcze z wydawcami, z redakcjami czasopism terenowi korespondenci. Nigdy tak wiele nie pisano o osiągnięciach poszczególnych gospodarstw i ferm. Nigdy jeszcze nie dowiadaliśmy się tyle o sposobach pracy produkcyjnych praktyków, osiągających najwyższe wyniki produkcyjne.

Trzeba dziś, by tysiące szeregowych pracowników zootechniki, oborowych, świniarzy, owczarzy, drobiarek stało się świadomymi pomocnikami i sojusznikami zootechnika - naukowca, w jego pracy nad zwiększeniem ilościowym i poprawą jakościową naszego pogłowia zwierząt w dążeniu do podniesienia jego produktywności. Szkolenie ideologiczne i fachowe pracowników fizycznych na fermach hodowlanych, pozwoli zrobić z nich świadomymi swych celów współtwórców postępu w hodowli.

Władysław Herman



TADEUSZ SZEWERA

# MICZURINOWCY\*)

**W**IADOMOSĆ o sadzeniu ziemniaków pod koniec czerwca i do tego na torfie, zekutyżowała całe Bylice. Nawet najtwardzialszy przeciwnik „kolchozowych sztuczek” nie mógł się oprzeć chęci i przybiegł na Kosaczowe pole. Ludzie stali grupkami, rozprawiali, zaczęli Romka Stępnickiego, pytali o szczegóły. Inni asystowali Wojtkowi, który wraz z Helą wygrzebywał w żółtoszarej, sypkiej ziemi dolki i wsypanywał do nich torf. Wyglądało jakby doniczki na zagonie ustawiał.

Barcik, chłop strzelisty niby topola, zaczął Wojtką.

— Jaką odmianę będziecie sadzić? — A co ci odmiana pomoże? — zahuczał mu nad uchem bas i wyrosła przed nim pękata figurka Kleszcza. Za nim kusztykał Woźnica.

Na nalanej gębie Kleszcza igrał chityry uśmiešek.

— A co ci odmiana pomoże? — powtórzył. — Słyszane to rzeczy, że by sadzić ziemniaki w końcu czerwca! Moja stara od świętego Jana gotuje już młode! Paluszki lizać, takie ziemniaczki! Ech, ludzie, nawet gadać się nie chce, języka szkoda.

Barcik wzruszył chudym ramionami.

— Każdy to wie, nie musicie tak krzyżać. Ale to ciekawe... — Co ciekawe? Oj, głupi naród w naszych Bylicach. Wymyślił Kosacz bzdurę a wy zaraz — miczurinowiec! Taki z niego Miczurin, jak ze mnie ksiądz biskup.

Stacho Moruś zakpił z Kleszcza.

— Z was to mógłby być biskup. Kazania prawie umiecie i w gardle wam nie wysychał!

— Ano, właśnie! — odezwał się Barcik. — Stadnicki z Grządkowa mówił, że w Rosji są takie tereny, gdzie sadzą ziemniaki podobnie.

Kleszcż podskoczył, szeroko rozczepierzonymi dłońmi klepnął się po kolanach opiętych w granatowe bryczesy.

— Byłeś? Widziałeś? No, to nie opowiadaj byle czego! A jeśli nawet tak jest, to tam mogą sobie na to pozwolić, a ty nie!

Wojtek Kosacz zaprzestał na chwilę kopania dółków.

— Dlatego myśmy torf przywieźli. Stwarzamy w ten sposób ziemniakom podobne warunki klimatyczne i wegetatywne jak na przykład na Ukrainie...

Kleszcż trzymał się obiema rękami za brzuch i pękał od śmiechu. Wiórował mu Woźnica i jeszcze paru.

— Ludzie moi najmiłsi! Słyszeliście? Klimat ziemniakom Kosacz ro-

bi! Torfem im pomaga! Ha, ha! Jak Boga Kocham, od dziś poszły precz wszystkie moje zmartwienia. Całą twójową łakę obsadzę kartoflami.

— Ludzie kochani! Czy wy nie widzicie w tym cygaństwa? Bielmo wam wiało na oczy? Patrzcie, co nasze zetempowce robią! — wskazywał pulchną ręką Wojtką, Helę i Stępnickiego. Woźnica wyciągnął kartkę papieru, ołówek i obliczał. Barcik i Moruś patrzyli ze wstrętem na jego rozbiegane dłonie.

— Prawdziwy gospodarz w Bylicach sadi pod plug, na skibę, utykając kartofel od kartofla co piętnaście lub dwadzieścia centymetrów. Tak? Zgadza się. Na metrze kwadratowym mamy w taki sposób dwadzieścia cztery, albo dwadzieścia pięć krzaków. Kosacz daje

— Był do tej pory spokojny we wsi i gospodarzyło się jakoś bez tych nowości. A wy macie czystą wodę. Woźnica wydał nogardliwie wargi i przytakiwał mówiacemu.

Wojtek zaraz odparł:

— Wy o mąceniu godocie? A kto na skup jeszcze za ubiegły rok zboża nie odstawił? Razem z Kleszczem robotników okradacie! To jest mącenie!

— Buraki, skoro się przerywa — wtrącił Moruś — lepiej rosną, więc z kartoflami też może być podobnie.



Rys. St. Szmídt

— Głupstwa mówicie! — wrzasnął Kleszcż. — Bo chcecie zakryć zwykłe działoństwo. Naszym „miczurinom” zabrakło ziemniaków. Dlatego sadzą rzadko!

Szmer przeszedł po chłopach. Ktoś powiedział:

— Może i prawda.

— Mówię wyraźnie, słuchajcie ludzie! Niech bylickie Miczuriny znajdą hojność Kleszcza. Dają im metr kartofli darmo. Kto da więcej? — Kto da więcej?

Gwałtownym ruchem zerwał czapkę z głowy. Trzymając ją przed sobą obchodząc zasmiewających się do łez chłopów i głosem żebrającego wolał:

— Kto da więcej? Kto da więcej?...

— Niby prawda! — odezwał się któryś z boku.

Helą do tej pory spokojnie przyjmowała szyderstwa ojca. Teraz wybuchnęła.

— Jak się ojciec nie wstydił! Woźnica umilkł, ale w jego piwnych oczach błyskała złość.

— Ty mi tu nie ubliżaj! Bo jak

STANISŁAW PIOTROWSKI

# O ZARZĄDACH ŚWIETLIC

**D**ALEKO jeszcze jesteśmy od sumiennego i prawidłowego zaspokojenia stale narastających potrzeb wsi w zakresie rozwoju oświaty i kultury. Na przeszkodzie stoją nie truaności bazy działania, bo sieć jest szeroko rozwinięta, i nie wyposażenie tej bazy, jaką są świetlice i biblioteki, chociaż jest tu jeszcze bardzo dużo nawet rażących braków, ale przede wszystkim słabość zarządów świetlic, kierowników świetlic, słabość aktywności kulturalno - oświatowej, w masie swojej niedostatecznie przystosowanej ideowo i fachowo do tych wielkich i odpowiedzialnych zadań, słabość zarządów organizacji społecznych w gromadach, kół ZSCH, TPP-R, ZMP i kół gospodyń, mała umiejętność organizowania życia kulturalno - oświatowego i niedostateczna pomoc ze szczebli nadrzędnych instytucji i organizacji społecznych, a przede wszystkim rad narodowych.

Zbyt wąsko są upowszechniane dobre doświadczenia, wypróbowane formy, budujące przykłady w zakresie metodyki prac świetlicowych. Inaczej mówiąc, kierownicy świetlic wiejskich za mało wymieniają swoje doświadczenia i za mało udzielają sobie wzajemnej pomocy.

Spotyka się nadal rażące przykłady niechlujności, nierobstwa, a nawet gorszące przykłady penetracji wroga do części świetlic. Bo części świetlic u nas w kraju winna być placówką kultury socjalistycznej, a więc nie może w niej być miejsca na podrzucanie wrogiej ideologii, na penetrację obc. Nie mogą podobać zadaniom tacy ludzie, jak kierownik świetlicom gminnym Goszków (woj. Lublin), o którym chłopci mówią, że utożsamia się z światłem, a światła zawsze zamknięta. ani kierowniczka w Barcianach, o której wszyscy wiedzą, że nie wylewa wody za okno. Przy takich kierownikach grywane są teatralne smęty, sztuczność bezwartościowa. Czy może pomagać świetlicom gminnym kierownik świetlicy gminnej, który nawet nie wie, ile jest tych świetlic na terenie gminy? Rzecz jasna, że taka polityka obciąża nie tylko wspomnianych kierowników, ale zarząd świe-

tlicy, w skład którego wchodzi przedstawiciele wszystkich organizacji masowych, obciąża rady narodowe, obciąża władze szczebli nadrzędnych.

Zatem, uogólniając braki pracy kulturalno - oświatowej na wsi, stwierdzić należy, że w masie swojej świetlice wiejskie niedostatecznie jeszcze oddziaływają na środowisko wiejskie, aby krzewić światłopogląd marksistowski, aby skutecznie pomagać chłopom matorolnym i średniorolnym w walce klasowej, w walce o podnoszenie produkcji rolnej, o sumienne i terminowe wywiązywanie się z obowiązków wobec państwa, w walce o upowszechnienie postępowej oświaty i kultury, jako oręża walki z ciemnotą, bigoterią, zabobonem, ze wszystkim reakcyjnym usiłowaniami wroga, który często za pomocą bezczelnej plotki stara się zakłócać nasze życie polityczne, gospodarcze i kulturalne na wsi.

Istnieje obecnie 25 powiatowych domów kultury, prowadzonych przez rady narodowe, i około 50, prowadzonych przez związki zawodowe. Pierwsze powiatowe domy kultury przejęły rady narodowe pod bezpośrednią opiekę w roku ubiegłym.

Placówki te mają do wypełnienia dwa zadania.

Pierwsze i zasadnicze — to niestnienie pomocy politycznej, organizacyjnej i metodycznej świetlicom gminnym i gromadzkim.

Drugie zadanie — to organizowanie życia kulturalnego dla mieszkańców siedziby władz powiatowych.

Ta pomoc ma wyraz w konferencjach metodycznych z kierownikami świetlic, w wyjazdach zarówno kadry instruktorskiej, jak i zespołów udzielających do pracy wytycznych wskazówek metodycznych w zakresie repertuaru, w zakresie łączenia pracy politycznej z formami artystycznymi itp.

W tym roku nastąpi dalsza rozbudowa sieci PDK. Będziemy się starać, aby na przestrzeni 5 lat zorganizować w każdym powiecie taką placówkę.

W zakresie świetlic gminnych dążymy, aby w ostatnim roku Planu 6-letniego znajdowały się już w każdej gminie.

Stanisław Piotrowski

\*) Fragment z przemówienia na Krajowej Naradzie Kierowników Świetlic.

EDWARD POCHROŃ

# Stachowicz i Górnica

**N**A naradzie przodujących czytelników „Plonu” i „Małego Poradnika Rolnika”, która odbyła się w ubiegłym miesiącu w Miechowie, spotkałem się ze zjawiskiem dość nieoczekiwanym.

Otóż wśród wielu głosów w dyskusji, nie usłyszyliśmy ani jednego głosu czytelnika ze spółdzielni produkcyjnej! A przecież powiat miechowski nie jest już pod tym względem kopciuskiem — pracuje tu obecnie 48 spółdzielni i kilkanaście komitetów zalocycielskich!

Dlatego więc aktywni spółdzielcy nie wykorzystali tak wielkiej okazji, aby właśnie na takiej naradzie pokazać indywidualnym chłopom-przodownikom wiedzy rolniczej, że tylko gospodarka zespołowa daje pełną możliwość wykorzystania wszystkich osiągnięć tej wiedzy. Cos tutaj nie w porządku.

We wsi Siedliska (gm. Wielka-Zagóra) w roku 1952 było 16 prenumeratorów „Małego Poradnika” na 32 numery w gromadzie. Niedawno powstała tutaj spółdzielnia. I co się okazuje? W tej chwili prenumeratorów jest tylko 8, w tym 3 zaledwie członków spółdzielni (na 12). Czyżby spółdzielcy opanicznie pojęli sens przeruczenia odpowiedzialności za gospodarowanie z własnej tylko głowy na głowę zarządu i przestali się kształcić? Był już we „Wsi” artykuł\*) który wykazał pełną szkodliwość tego stanowiska. Jest wszak rzeczą zupełnie jasną, że wielkie i wyspecjalizowane socjalistyczne gospodarstwo rolne nie może rozwijać się prawidłowo bez wykorzystania nowoczesnych osiągnięć wiedzy.

Nowe tylko zwrócić uwagę na jedno zjawisko, które w Siedliskach występuje szczególnie wyraźnie — na odpowiedzialność najświetlejszych spółdzielców za poziom całego zespołu.

Przewodniczącą spółdzielni, Tomasz Stachowicz, jest wykształconym i doświadczonym rolnikiem. Nie ogranicza się tylko do czasopism, czyta dużo broszur i książek fachowych, a ich wskazówki stosuje przy utr. wie buraka cukrowego i tytoniu. To bardzo dobrze, ale dlaczego, poza przewodniczącym, czyta prasę fachową tylko 2 jeszcze spółdzielców? Dlaczego nie wpłynę na swym autorytetem (przodujący gospodarz), aby kształcił i innych członków spółdzielni?

Ziemia miechowska to ziemia bogata i żyzna. Wiele tu czarnoziem — obficie rodzi się pszenica, burak cukrowy, tytoń, warzywa, cenne uprawy pastewne. Toteż upowszechnienie wiedzy rolniczej pozwala wyciągać wielkie dochody nawet z maleńkich skrawczków ziemi. Taki Paweł Gešior z Uliny Małej (gm. Rzezuśnia) na 2 tylko ha ziemi założył bogaty sad owocowy, sieje lucerne, uprawia tytoń i buraki cukrowe. Dochody ma, rzecz jasna, bardzo wysokie. Nic też dziwnego, że gospodarstwo Gešiora przykuwa baczną uwagę sąsiadów, że powstało w Ulinie Małej kółko miczurinowskie, że za przykładem Gešiora wciąż nowi gospodarze biorą się do czytania prasy i książek rolniczych i przedstawiają swe gospodarstwa na wyspecjalizowane i wysoko dochodowe kultury: tytoń, lucerne, buraki, cebulę, pomidory, ogórki...

Jest taki Gešior również w Siedliskach: prezes ZSCH — Górnica. Z 11 arów osiągnął w ub. roku 32,5 q buraka zamiast przeciętnej 18 q.

Drugi to obok Stachowicza zarliwy czytelnik literatury rolniczej Jeden — indywidualny, a drugi — spółdzielca. Dwa autorytety w gromadzie, który z nich wyciągnie więcej? — takie pytanie zaprzęta umysł siedliskich chłopów. Od odpowiedzi na nie zależy będzie, czy przystąpią do nowopowstałej spółdzielni. Problem Stachowicz czy Górnica staje się w istocie problemem — gospodarza spółdzielca czy indywidualna?

Gešiorów i Górników w miechowskim jest wielu — wystarczy wskazać na cyfrę 9.875 prenumeratorów „Plonu”. Ich istnienie stawia w każdej gromadzie o wiele trudniejsze zadania przed nowopowstałymi spółdzielcami — muszą one wykazać, że w kolektywie można wyciągnąć z ziemi jeszcze o wiele więcej.

Toczy się więc w miechowskim cięche, zacięte współzawodnictwo — kto lepszy gospodarz: indywidualni spece czy zespoły spółdzielce. Od wyników zależy w każdej gromadzie rozwój lub zastój spółdzielni.

Ze nie jest jeszcze z tym dobrze, świadczy przykład nie tylko Siedlisk ale i jednej z najlepszych spółdzielni w miechowskim, Wycisec, gdzie od roku 1949 przystąpiło zaledwie 2 nowych członków. Ostatnia narada miechowska wskazuje jeszcze wyraźniej na źródła osłabienia ofensywy spółdzielczej, niepodobna bowiem zapewnić jej zdecydowanie zwycięstwa bez nieustannego podnoszenia poziomu kultury rolnej spółdzielców.

Edward Pochroń

\*) Władysław Mistuna: „Gdy niedocenia się wiedzy rolniczej”, Wiew, Nr 24.

Tadeusz Szevera

\*) Fragmenty opowiadania z tomu pt.: „Odkrywcy” przygotowanego dla Państwa. Wydawnictwa „Iskry”.

# WSPRAWIE OCENY PRZESZŁOŚCI I OBRAZU MINIONEJ EPOKI

CZESŁAW MICHNIAK

## Prawda o „tamtych latach”

Dziennikarską relację zgodnie z tradycją i szablonem można by rozpocząć tak:

W ramach Dni OKiP odbyło się w Rożnicy (pow. Jędrzejów) spotkanie z czytelnikami Mariana Kubickiego, autora książki „Tamte lata...” Świecili wypełnili po brzegi słuchacze Uniwersytetu Ludowego, podzielnicy, chłopci gospodarujący indywidualnie, nauczycielstwo, młodzież szkolna itd.

Po ożywionej dyskusji głos zabrał autor. Na zakończenie wystąpił rożnicki zespół artystyczny pieśni i tańca.

Kol. Zacharski przeczytał rozdział pt. „Nowy sółtys”.

— Proszę, kto pierwszy? — spytał dyr. Babincz.

Wstał szczupły blondynek (Teciurko). — Tak rzeczywiście było, jak to autor opisał... Ja nie pamiętam, ale ojciec opowiadał mi często o swojej roli w „tamtych latach”...

Dziennikarza w zielonej sukience (Wilkońska): — Sółtysem mógł być wtedy tylko bogacz, zausznik dworu, pleban i posterunkowy Policji.

Wysoki i czarny Buczacki: — Jak brakło pieniędzy na zeszyt to wycierało się gumą w starym zeszyście i jeszcze raz w tym samym miejscu pisało...

Lysawy Dyzma: — Wtedy za krowę wyższa była cena niż za człowieka.

Maria Czajor: — Splakałam się czytając, bo to wiecie było o tym, jak komornik zajmował Wzgardzie krowinę...

Student UL, Bastryk, zwraca uwagę na pewną analogię ze „Starym i nowym” Rudnickiego.

Buczacki po raz drugi: — Czy autor zamierza pisać dalszy ciąg „Tamtych lat”?

Młody człowiek w sportowej koszulce (Sobczyk): — Dlaczego gajowy nie pociął kary?

Mówili jeszcze inni, starzy i młodzie, zgodnie stwierdzając: Kubicki napisał prawdę, tak było!

Autor opowiedział krótko swój życiorys. Pochodzi z Raskowa (w sąsiedztwie Rożnicy), gdzie jego ojciec miał hektar z czynną i podpisywał się trzema krzyżkami. Kubicki uczył się w szkole w Rożnicy, dalej kształcił się trochę sam, potem na UL w Szczech. Współpracował z pismami lewicowymi jak np. „Ugory” i „Dziennik Popularny”. Był więźniem Oświęcimia. Dotychczas pisywał tylko wiersze. W swej opowieści „Tamte lata”, będącej debiutem prozatorskim, starał się stworzyć obraz typowych stosunków na wsi polskiej w pierwszych latach po wojnie światowej. Jednym słowem

\*) Marian Kubicki — „Tamte lata”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1953, str. 178, cena 6 zł.

MARIA BORKOWSKA

Książkę Mariana Kubickiego „Tamte lata” czytelnik przeczyta chętnie, łatwo, nie bez wzruszenia. Podtytuł określa książkę jako o p o w i e ś ć. Istotnie, jest to opowieść napisana stylem rozległym, pełna przepisanych szczegółów z życia wsi owego okresu (są to lata dziesiąte i dwudzieste naszego wieku), opowieść będąca zbiorem dość luźnych obrazów, z których niejedną potrafi na pewno wzruszyć czytelnik. Sąd ten potwierdza zresztą najlepiej zamieszczony obok reportaż z dyskusji, jaka się odbyła w Rożnicy nad książką Kubickiego. Zauważmy, do czego odwoływali się czytelnicy opowieści, co w niej odnaleźli, co zwróciło ich uwagę. W dyskusji wszyscy stwierdzili zgodnie, „Kubicki napisał prawdę, tak było”. Powoływali się na własne wspomnienia — ta struna zadźwięczała najmocniej, poruszanie wspomnień stało się głównym punktem dyskusji. Niewątpliwie fakt ten jest dowodem pewnego sukcesu autora, żywy, emocjonalny stosunek czytelnika do książki świadczy o tym, iż książka „chwyta”. Ale nie poprzestawmy na tych stwierdzeniach, sięgnijmy głębiej. Czy nic nie może nas zaniepokoić w tonie owej dyskusji? Czy nie niepokoi nas książka Kubickiego?

Czytelnicy „Tamtych lat” często odwoływali się do własnych wspomnień, najczęstszym swym stosunkiem do książki zastępowali wydobyciem fragmentu, który nasuwał skojarzenia z własną przeszłością. Uczestnicy dyskusji przypominali na ogół fakty najbardziej znane, powtarzane wielokrotnie: że była nędza, że dzieciaki męczyły się za krowami, że nie było mowy o nauce... Nie przypadkowo dyskusja potoczyła się w ten sposób, nie wyszła poza dość ogólnikowe stwierdzenia. Przyczyna leży nie tylko w dyskutancach, ile w przedmiocie dyskusji: w książce „Tamte lata”, jak wskazuje sam tytuł, mówią o przeszłości wsi. Akcja rozpoczyna się w roku 1908, a kończy na początku lat trzydziestych. Książka jest opowieścią o dzieciństwie i pierwszych latach młodości biedniackiego dziecka, Marcina Wzgardy. Na ile życia Marcina autor starał się ukazać problemy wsi

tematem książki jest nędza wsi, widziana oczami chłopca, Marcinka Wzgardy. Stąd skrótość akcji (zwłaszcza w pierwszej części książki), a także pewne uproszczenia stylistyczne w opisie. Każdy z rozdziałów stanowi zamkniętą w sobie całość. Wyraźne, silniejsze konflikty występują w końcowych rozdziałach: „Nowy sółtys”, „Za kunią”, „Bez krowy i ziemi”, „Sumienie Wacława”.

W podsumowaniu dyskusji Kubicki podał jaskrawy przykład dojrzenia politycznego chłopów. Gdy w 1926 roku Piłsudski dokonywał przewrotu majowego i do Rożnicy dotarła tylko wieść: „rewolucja w Warszawie”, chłopci szli brać pańskie drzewo, dzielili obszarnicze pola. Myśleli: nasza rewolucja, tak jak w Rosji. Pomysłkę swą okupili więzieniem.

A dziś w Rożnicy i Raskowie są spółdzielnie produkcyjne.

— Powinności się cieszyć — powiedział autor zwracając się do młodzieży — że macie dziś tak wspaniałe warunki do nauki. W „tamtych latach” bardzo często synowie chłopscy po ukończeniu szkoły, na którą wykoshowali się rodzice, paśli krowy, bo w mieście nie było pracy.

Autor zapowiedział opracowanie drugiego (okres międzywojenny) i trzeciego tomu (okupacja) „Tamtych lat”.

Obecnie przygotowuje do druku zbiór opowiadań satyrycznych.

Rozszerzymy trochę margines rożnickiego spotkania.

W kilka dni zabrakło w księgarni w Jędrzejowie egzemplarzy książki M. Kubickiego. „Tamte lata” stanęły na półce biblioteki Józefa Boruckiego w Jasiu, który na okrzyk zdumienia, wydany przez dziennikarza na widok 1200 tomów pod większą strzechą, rzekł: „Dziwię się waszemu zdziwieniu, kolego. Jakże by mogło być inaczej?” Borucki nie widzi w tym nic szczególnego.

Przed trzema tygodniami bawiła w Rożnicę ekipa Filmu Polskiego. Narekano sceny z „pracy” zespołu czytelnickiego. Siadło więc kilku gospodarzy za stołem a wśród nich i Stach Ciosek w okularach z książką Kubickiego w ręku. Gdy operator powiedział „skończono” dając znak Cioskowi, aby ustawił się do innej sceny, zniecierpliwiony chłop rzucił filmowcowi ostro: „A dajże mi pan doczytać do końca rozdziału, co pan myśli, że ja udaję, czy co?”

Dodajmy, że w Rożnicy jest jeszcze drugi zespół czytelnicki, że nie ma domu, do którego nie zaglądaby codziennie oblatywana gazetami listonosz wiejski Ciapał.

„Tamte lata” nigdy już nie powrócą! Czesław Michniak

STEFAN GĘBALA

## Wianuszek z centurij

Życiorys Stefana Gębala jest typowy dla dzieł synów chłopiejskiej biedoty, którzy przed wojną szukali w ustroju kapitalistycznym wiedzy, nauki. Ojciec — malarz — chłop nie mógł dać na wykształcenie. Młody chłopak ucieka z domu i o własnych siłach przebiega przez gimnazjum. Wydalony za przynależność do lewicowych organizacji młodzieżowych otrzymuje maturę jako ekstern i wstępuje na uniwersytet, pragnie studiować chemię. Jednak bardzo ciężkie warunki materialne utrudniają mu realizowanie tych planów. Poszukiwanie jakiegokolwiek zajęcia daje mu pracę murarza. Teraz nierozważną więzią łączy się z ruchem robotniczym. W Stalowej Woli Gębala styka się z Michałem Krajewskim i organizuje wraz z nim strajki wśród robotników. Bierze też żywy udział w organizowaniu strajków chłopiejskich w latach trzydziestych.

Obecnie Gębala jest członkiem spółdzielni produkcyjnej w rodzinnej wsi Zabno (pow. Tarnobrzeg, woj. rzeszowskie), leżącej w widłach Wisły i Sanu. Powieść, której fragment drukujemy, ukazuje dzieje jego stron rodzinnych na przełomie XIX i XX wieku. Akcja jej odśladania proces kapitalizacji wsi galicyjskiej w tym okresie i zastraszającą się walkę klasową na wsi. Jest to powieść o jednej z pierwszych faz ruchu ludowego.

REDAKCJA

Raz tylko Piłski obszedł swoje pola i te po ojcu nieboszczyku Pylu, i te po Wójciku. Obejrzał zasiewy, stwierdził, że łąki były starannie zbronowane i ogrodzenia od strony pastwiska zrobione. Wrócił do domu zadowolony.

— Grzegorza można nie pilnować — rzekł do żony — dba jak o swoje.

Przelotna kontrola i pochlebna opinia o studzie już same przez się świadczyły, że Piłski coraz mniej się zajmował gospodarką. Tak i było. Piłski, choćby nawet chciał, nie miał na to czasu, a gdyby mimo wszystko spróbował z Grzegorzem w polu jeździć, straciłby wszystko. Musiałby stracić zaciągawszy się na kupno od Wójcika, znalazł się w sytuacji całkiem przynusowej: albo będziez dużo zarabiał i długi spłacał albo cię procenty zaduszą.

Wszedł do spółki dostawców. Zrezygnował z udziału i o wiele bardziej bezwzględny, Piłski stał się szybko duszą i motorem. Mówił się, że Piłskiemu sprzyja szczęście, jego oferty były z reguły przyjmowane, w rzeczywistości wymagało to wielu zabiegów z boku.

Odnosił znajomości z c. k. starostą, hrabią Epockim. Hrabia miał różne aspiracje, jego zaś konikiem było „wprowadzenie” ludowców do Koła Polskiego. Piłski, były poseł i ludowiec, zgłosił swój akces i innych agitował. W zamian za to starosta, gdy zachodziła potrzeba, nie utrudniał.

Drugim, który przydał się Piłskiemu, był Trznadel z Zagłuszyna. Ten polityczny ambicji nie manifestował; wierzył, że dobrze prowadzone interesy otwierają drogę do wszyst-

kich godności i tytułów. Dał się Piłskiemu skusić, przystąpił do spółki i w niedługim czasie faktyczny monopol na dostawy znajdował się w rękach tych dwóch. C. k. starosta i komendant zandarmerii byli także współnikami, ale cały ciężar roboty spadał na Piłskiego.

Choć do Piłskiego należało tylko wyrob i sprzedaż, bo transportem kto inny już się zajmował, przedsiębiorca z Tratewna mało w domu bywał. Gospodarkę prowadził Zdziebko.

Pewnego dnia z rana Zdziebko patrzył po niebie i przypomniał sobie, że nadchodzi czas sianokosów. Łąk przybyło. Cała olszynka wykarczowana na faszynę jest łąką, są także łąki po Wójciku, trzeba tam zajrzeć — postanowił Zdziebko — i może pastuchowi kazać wypasać gdzie kosić się nie da.

Skierował się ku pastwiskom i szedł krzywą brudzą, która była kiedyś granicą między olszynami Piłskiego a polami Wójcika. Już się Wójciki nie wurdą — uśmiechnął się Grzegorz i mruzczał — hi, nie wurdą, bo to już „nasze”.

Stanął na skraju łąki, upatrywał którydy by przejść nie maczając butów, kiedy nagle spostrzegł „coś” nieoczekiwane. Pod zieloną ścianą żyta, za niwą owsa, gdzie się łąka zwała, siedziała dziwna kobieta. Ubrana była odświętnie, jakoś ina-



Rys. B. Butenko

czej niż ubierały się kobiety w Tratewnie i zachowywała się „inaczej”. Ki diabeł — zastanowił się Zdziebko. — Południe, czy co? Przybliżył się cicho, ale coraz częściej próbował chrząknąć, żeby zwrócić uwagę Podniosła ku niemu duże, jakby zawstydzone oczy i uśmiechnęła się.

— Pochwalony... — Dziwna kobieta miała przed sobą narezcą ziół i kwiatów, a na białym w różowe prążki fartuchu rozpoczęły wianuszek krwistoczerwonej centurii.

— Na wieki. — Na wieki, gospodarzu.

— A to wianuski wiecej? — spytał Zdziebko po chwili kłopotliwego milczenia.

— A już ci, wianuski. Toć oktawa dziś... tak. A może jutro, jutro może... Gdzie mój Jaś gospodarzniś?

Zdziebko drżał na całym ciele, żeby jednak opanować nerwy uśpiadł na brzegu łąki i zapalił papierosa. Kobieta nie przerwała swojej roboty. W pewnej chwili odłożyła wianuszek, złożyła ręce jakoś tak beznadziejnie i nachyliła się ku Zdziebko. I wtedy w dużych oczach zauważył jakby drobniuteńkie kropelki rosy mączące czystość spojrzenia.

— Chciałam nad drzwiami poświęcone wianki powiesić, od chorób strzeżę. Alem ci już ani drzwi, ani domu naszego nie znalazła. Pobłądziłam, myślę, pomyliło mi się... Przyszłam na łąkę. łąka ta sama. Ta sama, gospodarzu, a do domu trafić nie mogę. Gdzie mój dom? Gospodarzu, gdzie mój dom? Podniosła się, otrząpała fartuch z zielska i zawołała nagle głośno i dźwięcznie.

— Jasiuuu. Jasiuuu.

Zdziebko stanął w głowie. Uciekł stąd, lecz „coś” go trzymało na miejscu. Ten głos przecieżył tak do czystego głosu podobny. „To Ewa, Wójcikowa Ewa...” — szeptał do siebie.

— Jasiuuu. — Wołała znowu kobieta — Jasiu, a chodźcie.

Zaczęła znowu przebieierać w ziel-sku, namyślała się, które brać, wplatała je w wieniec...

Czuł się nieswojo, a nie wypadło mu odchodzić, więc znowu zapalił papierosa.

— A nie głodniście? — spytał po długim milczeniu.

Kobieta odłożyła robotę i zaczęła patrzeć w węzełek nieruchomo a bystro. Dawno widać nie jadła...

— Ale gdy rozwinął i położył przed nią, kobieta zmieniła się na twarzy. Przeżegnała się godnie i poprosiła o kozik.

— Bom ci w domu nie była i nie wzięła — tłumaczyła bez pośpiechu. Podzieliła tę odrobinę pastuchowi przeznaczone na dwoje i na troje i Zdziebko po kawaleczku niewielkim dawała.

— Jedzcie gospodarzu. To dla was a to dla Jasiu zostawię. Owinęła reszkę w szmatkę i położyła koło siebie.

Raptem popatrzyła na Zdziebko bystro, nie mrugnawszy powieką, wyciągnęła do niego ręce i prosiła: — Zaprowadźcie dobry człowieka, pokażcie mi mój dom...

Potem obróciła się w prawo i nachyliła jakby zaglądając za krzywą ścianą żyta i krzyknęła niecierpliwie „Jasiu, Jasiu!”

Zdziebko poderwał się z ziemi. Szedł zżawo nie odwracając głowy. Nie zwolnił kroku nawet we wsi, gdzie dzieciarnia urządziła „praw-



Rys. B. Butenko

dziwie” wesele z wrzaskliwą muzyką i śpiewami. Pierwszym, kogo w domu spotkał, był sam Piłski.

— Sluga strapił się. Nie wypadło przyznawać się do strachu, a czuł, że lek go jeszcze nie opuścił.

— Gdzieżeś chodził, Grzegorzu — zagadnął wesoło gospodarz.

— A na łąkę. Sianokosy wnet, patrzyłem czy już pora... Widziałem kobietę na naszej łące... Koło żyta. Musi to być Ewa...

— Jaka Ewa? — A Wójcikowa. — Coż ona tam robi? — Wianki wije. — Wianki?

Serdeczne rozrzwienie jakiego przed momentem Piłski doznał z powodu tej kobiety, nie kochanej może, ale takiej, co się zawsze bardzo podobała, rozwiła się przedko. „Ewa Wójcikowa w Tratewnie? Gorszej rzeczy nie podobna sobie wyobrazić” — rozumował Piłski na zimno. „Ktoś ja oczywiście przysparnie ludzie będą urągali. Ale ten Wójcik. Uciekł na Podole i ma spokój, a ty człowieku słuchaj gadania...”

— I co ci, powi dasz, mówiła? — badał znowu Zdziebko.

— Sluga się już płał. W ogóle to sprawa dziwna. Spotkał głupia Ewę i tyle z tego korowodu, śledztwo po prostu.

— Pokażcie mój dom mówiła — dukał Zdziebko — zaprowadźcie mnie do domu — prosiła mnie.

— Aha. Aha. Zaprzęgnij konie, Grzegorzu.

W chwilę potem Zdziebko jechał do Górek z kartką do komendy C K zandarmerii. „Pojawiła się jakaś kobieta, jest niespełna rozumem, błąka się po wsi. Zachodzi niebezpieczeństwo podpalenia, a poza tym przepisy mówią, że osoby takie należy odstawić „szupasem” do miejsca stałego zamieszkania”.

Stefan Gębala

\*) Fragment powieści, która ukaza się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

## Opowieść, ale czy o »tamtych latach«?

jędrzejowskiej w omawianym okresie. Nie udało mu się to jednak. Zaciążyła nad książką nieumiejętność powiązania losów bohatera z losami i ludźmi opisywanego środowiska. Brak w opowieści o życiu Marcina Wzgardy szerszych uogólnień, które ukazywałyby epokę w sposób głębszy, które wydobylałyby z indywidualnych losów bohatera maksimum wiedzy o epoce. Kubicki zbyt często poprzestaje na ogólnikach, używa ograniczonych chwytów, nie wychodzi poza dość powierzchowne obserwacje. Cóż wiemy z książki Kubickiego o życiu wsi w okresie, o którym mowa? Czy nasze wiadomości rozszerzają się, wybiegają poza stwierdzenia, iż na wsi była bieda, a dzieci wyżykiwały chłopów? Oczywiście, są to stwierdzenia zasadnicze, ale nie miarą samych stwierdzeń określamy dzieło literackie, lecz siłą obrazu, wymową wybranych faktów, bogactwem doświadczenia życiowego, które stwierdzeń tych dowodzą. O te nikości faktów, o ubóstwo doświadczeń, a poprzestanie na najbardziej „ok'epanych” obrazach chodzi w książce Kubickiego.

Losy Marcinka Wzgardy tak jak zostały opowiedziane przez autora, nie wystarczają do ukazania szerszego obrazu rzeczywistości tamtych lat. O Marcinku przez cały czas wiemy właściwie to samo: że pasie gęsi (potem krowy), że często bywa głodny, że bije go ojciec i że kilkakrotnie zostaje sierotą. Ale komplikowanie losów bohatera kolejnymi śmierciami: matki, a potem dwóch macoch nic w końcu nie wnosi nowego do obrazu jego życia. Zwłaszcza zaś, iż sprawa zmiany macochy jest w opowieści niemal jedynym słupem milowym w życiu bohatera — trudno mówić o bogactwie doświadczeń i o celowości tak pomysłanej akcji. Marcinkowi jest w życiu źle. Jest sierotą. Podczas najgorszego skwaru i największej słoty pasie krowy a edukację swoją kończy na czterech oddziałach szkoły powszechnej. Na tym kończą się niemal wszystkie wiadomości o życiu głównego bohatera opowieści. Przyznajmy — obrazek to znany i mało oryginalny. Pastuszek — sierota. To wzruszające i niejedną z czytelników może otężyć. Ale wzruszenie to jak sam obraz ukazany przez au-

tora, będą raczej powierzchowne, nie zmuszą do głębszego zastanowienia. Nie odkryją przed oczami czytelnika mechanizmu warunkującego los Marcina, nie pogłębią wiadomości o życiu w tamtych latach, nie ukazały treści poza zewnętrznymi a wszystkim dobrze znanymi faktami. Powtórzmy raz jeszcze: nie bez powodu w książce Kubickiego czytelnicy zobaczyli tylko to, co bezpo-



średnio mogli odnieść do poszczególnych faktów z własnego życia. Książka nie rozszerza tej wiedzy o życiu, nie stawia problemów w sposób nowy, mobilizujący, uczący surowych praw walki klasowej. Losy głównego bohatera potraktowane są zbyt wąsko, ograniczone do dwóch, trzech faktów. A to, czego dowiadujemy się dzięki kilku wstawkom, słabo powiązanych z tokiem opowiadania, nie może zastąpić tych wniosków ideowych, które powinny wynikać z dolepisanych fragmentów, lecz z całości obrazu artystycznego, z toku akcji, z rodzaju zarysowanych konfliktów. Obraz dziecka bijącego ludzi na polu, rozdział o sanacyjnej „wolonii bez butów”, a wreszcie obraz manifestujących robotników w zakończeniu książki — nie mogą wystarczyć dla głębszego przedstawienia prawie dwóch dziesięcioletnich lat życia na wsi polskiej. Obraz epoki zagubił się u Kubickiego w rozlicznych, drobniawych, a nie zawsze celowych opisach, w powtórzeniach bardzo już ograniczonych

brzów, w gawędziarskiej rozwlekości, która niekiedy zastępuje treść niepotrzebnym stylizatorstwem. Oto przykład:

„Woda w stawidłach ściekała ciurkiem, rozsiewając w słońcu deszcz kropielek, że dzwoniły i rozsypany były w ziemią mgłą.”

Nad wodami latały ważki. Trzciny i tatarak pachniały wiatrem.



„Tylko wołanie czajki, której zespu to gniazdo i zniszczono jajka, przynosiło echa smutku i cierpienia. Było ono tak natarczywie i nieustannie, że zniósłoby, by odejść z tego miejsca, zostawić ptaka z jego bólem, którego nikt nie utuli i nikt nie ukoi!”

Zbyt długo, jak na 178 stron książki, można by cytować podobne opisy. W tych opisach gubi się autorowi problematyka:

Uderza nas również chaotyczność problematyki. Autor nie potrafił powiązać losów Marcinka Wzgardy z losami innych ludzi przedstawianych w opowieści. Sceny z dziedziem, z Janką Srokówną, sprawa zamordowania przez gajowego małego chłopca, stanowią oddzielne, słabo powiązane z akcją fragmenty, słusznie był podnoszony w dyskusji brak zakończenia sprawy z gajowym. Metoda Kubickiego sprawa z do dowolnego gromadzenia materiału bez głębszego jego umotywowania, bez kompozycyjnego o-

pracowania. Szkodzi to oczywiście nie tylko kompozycji, ale i wyrazistości ideowej utworu, siłę jego argumentacji społecznej, ostrości obrazu walki klasowej. Obraz ten zresztą jest w książce Kubickiego bezbarwny, deklaratywny. O Krowickim wiemy tylko tyle, że ludzie nazywają go „kumonią” i że chłopci s.chozą się do niego na pogawędki o polityce. Ale nawet te pogawędki, będące jedynym w książce przejawem klasowej aktywności chłopów, są sprzeczne raczej do narek niż do prawdziwej aktywizacji. Dojrzałość klasowa chłopów, którzy mówią z entuzjazmem o rewolucji październikowej i Związku Radzieckim, kłóci się z faktem, iż nie wspominają o własnych konkretnych nadziejach na odzyskanie ojczyzny opartej na sprawiedliwości społecznej, o nadziejach, które przecież realizowały się w tworzeniu rad robotniczych i chłopiejskich, w pierwszym zrywem narodu, który zdusiła potem burżuazja. Kubicki nie mówi o tych sprawach, nie ukazuje aktywnych sił chłopiejskich. Charakterystyczny dla książki jest ton smętnych rozpamiętywań, gorzkich obrazów niedoli, niekoś sentymentalnych żalów nad chłopską biedą. Żałujemy Marcinka gdy kolejno umierają mu macochy, gdy pasie krowy, gdy dostaje cięgi od ojca. Żałujemy starego Wzgardy, gdy komornik zabiera mu krowę i gdy Wzgarda sprzedaje swoją ziemię. Ale nie widzimy głębokich źródeł niesprawiedliwości społecznej tamtych lat. Nie widzimy narastania tych sił społecznych, które w sojuszu z klasą robotniczą stanęły do walki o nowy ustrój społeczny.

Wprawdzie Marcinka Wzgarda w ostatnich stronach książki wyjeżdża do Zagłębia, tam od razu po wyjściu ze stacji napotyka manifestację strajkujących robotników i przyłącza się do niej w jednej chwili dobiegając dojrzałość klasową, ale czytelnik ma powody by nie rozumieć tej dojrzałości społecznej Marcinka, by nie być przekonany, że prawdziwość tej postawy bohatera. Charakterystyczne jest zresztą, że dopiero miasto czyni z Marcinka uświadomionego komunistę, natomiast życie na wsi nie dało mu żadnych doświadczeń, nie pokazało żadnych form walki klasowej (tru-

dno bowiem brać pod uwagę deklaratywne frazesy Krowickiego). Wiś to dla Kubickiego przede wszystkim siedliśko płacziwej nędzy. Czytelnik ma prawo przypuszczać, że gdyby nie wyjazd do Zagłębia, Marcinek do końca opowieści pozostałby zahakany pastuchem i może przez całe życie zadowalałby się zaszytanymi od Krowickiego hasłami, iż w przyszłości będzie inaczej.

Książka Kubickiego jest i będzie czytana chętnie. Wzruszy czytelników opisem chłopiejskiej nędzy. Na tym polega jej wartość. Pisaliśmy o tej wartości może zbyt mało, ale to dlatego, że ów punkt zaciepienia, dla którego książka „chwyta”, jest nie wystarczający. W tym przesentymentalnym nieco obrazie chłopiejskiej przywd brakło akcentów ostrzejszych, zabrakło szerszych wniosków interpretacyjnych, które można by wysnuć na podstawie wybranych przez autora faktów. Zaciążyło może nad opowieścią wciowe niedostrzeżenie rewolucyjnego, klasowego zarynu wśród warstw biedniackich, rozłożenie głównych akcentów na obrazy nędzy, żalu za straconą krową i sprzedaną ziemią, a nie na ostrość klasowych starć, na aktywizację i klasowe uświadomienie, które doprowadziły do tak ostrych form walki, jak strajki i bunty chłopiejskie.

Ideowe braki książki łączy się z jej brakami artystycznymi. O niektórych z nich już pisaliśmy wspomniając chaotyczność kompozycji, niedopracowanie wątków, przesadne i nie najszczęśliwsze stylizatorstwo w opisach. Dodać należałoby niekonsekwencje gramow, a nawet zdarrające się błędy językowe, za które odpowiedzialność ponosi zresztą również wydawnictwo.

Kubicki w dyskusji wspomniął o tym, iż w przytównaniu są następne tomy „Opowieści. Autor powinien dokładnie przeryśleć ich problematykę, powinien wzb. gacić obraz lat, o których pisze, jeśli chce pogłębić wzruszenia swoich czytelników, jeśli chce rozszerzyć ich wiadomości o życiu, ułatwić zrozumienie minionych lat, zmobilizować do walki o lata nowe.

Marla Borkowska





rys. B. Butenko

TADEUSZ SŁUPECKI

# HISTORIA DLA POM-ÓW

**W** CIAGU zaledwie dwóch godzin po wstaniu przyjeżdża, nowo mianowany kierownik wydziału politycznego przy POM w Struclewie zdołał się dowiedzieć, że ośrodek maszynowy ma za mało mechaników i że miejscowej organizacji partyjnej od dwóch miesięcy brakuje czasu na zwolnienie członków. W tym samym czasie dyrektor POM odkrył w nowym kierowniku jedynie porucznika rezerwy, który niedawno wrócił z manewrów wojskowych.

tułna brzezinka, a do tej brzezinki krokiem zawodowego uwoodziela zmierzal Wojtek Dygala. Dyrektor odwrócił się w przeciwną stronę — po to jedynie, aby zobaczyć Pazera, który pod wieczór jakoś wyzdrowiał i resztki choroby wytrzymał goniąc za piłką. Ale na tym nie skończyły się dyrektorskie utrapienia: za chwilę wymylną go pełen werwy Miętusik, dźwigający pod pachą długą wędkę i tak zajęty obmyśleniem rybolówczej strategii, że nawet nie dostrzegł wlokącego się sroakiem drogi dyrektora...

Kierownik oczekiwał go w biurze.

— No i co — rzucił na powitanie — dalsieście radę tym snopowiazalkom?

— A dałem! — odparł z pewną dumą dyrektor. — Mechanik ze mnie był zawsze tegi!

— Ale dyrektor to chyba nie bardzo? — zauważył jakby mimochodem kierownik.

— Widzicie, u nas już taka robota... — tłumaczył się tamten zbolalym głosem. — Ludzi w POM mało, a najgorsze, że wszystko na mojej głowie. Czego sam nie zrobisz...

— A kto wam każe samemu robić to wszystko? Od czego są mechanicy?

— I oni też robią, robią... — zapomniał zastryżony jednak dyrektor. I aby się całkiem uwolnić od kłopotliwych pytań, zagadnął niby od niechcenia o...

Kierownik podciągnął nogi, uśmiechnął się leciutecznie, ale opowiadać zaczął. Tamten słucha i słucha, ale w końcu wytrzymał nie może:

— Coś mi się widzi, że ze mnie pokpiwacie...

A kierownik nic, ciągnie dalej:

— Widzicie, to taka nowoczesna metoda wojowania. Oficer leży na wzgórkach i obserwuje teren. Żołnierze leżą w okopach, karabiny i armatki wystawia przed siebie, jeden gra na harmonii aż miło, inni rzną w karty. Nagle, powiedzmy, bo to były manewry, jest atak czołgów. Trzeba otworzyć opień zaporowy. Więc ja puszczam się pędem do najbliższej armatki i strzelam! O pięćdziesiąt metrów stoi trzecia...

— I co? Pędzisz i znowu strzelasz? — zryżliwie przerwał mu dyrektor, „tykając” w pośpiechu kierownika. — I za to strzelanie porucznikiem zostajesz? A czemuś to nie kazał strzelać swoim żołnierzom?

— Bo graли w karty, jak twój mechanicy i nie śmialem im przerywać... — odparł pogodnie kierownik.

Tego wieczoru dyrektora, jak sam opowiadał później, o mało co nie trafił szlag. Ale następnego dnia, ku wielkiej ucieście spółdzielców a niemałemu strapieniu kowalowej córki, Wojtek Dygala wyjechał z POM, inni zaś z mechanicy w zadziwiająco krótkim czasie przypomnieli sobie o istnieniu socjalistycznej dyscypliny pracy. A co czynił kierownik wydziału politycznego?

Kiedy po dwóch dniach znowu rozmawiał z dyrektorem, ten, szukając czegoś pilnie w papierach na biurku, burknął niby od niechcenia:

— Aleście to wtedy zelgali z tymi żołnierzami, co na manewrach w karty podobno graли...

— Tak... — uśmiechnął się kierownik, wypisując na maszynie zaawidomienie o jutrzniejszym zebraniu organizacji partyjnej. — To była rzeczywistość tylko taka historyjka dla dyrektorów, którzy nie umieją sobie zorganizować pracy...

Tadeusz Słupecki

KAZIMIERZ ZYGMUNT

# O złych radiowężłach

**W** czasie ostatniej wędrowki po ziemi kieleckiej zapoznałem się z działalnością radiowężłów gminnych i powiatowych.

Chciałem podzielić się uwagami, jakie mi się narzuciły. Być może uwagi te przypomną rozgłoszonym regionalnym jak i ekspozytorem Polskiego Radia o ich obowiązkach w stosunku do radiowężłów terenowych.

Ze kontrola i opieka nie były do tej pory należyte, wystarczy zapoznać się z programami nadawanymi przez radiowężel w Suchedniowie.

Przyjrzyjmy się bliżej tym programom. Już pobieżny rzut oka pozwala zorientować się, że będziemy mieli do czynienia z twórczością „poetycką”. W rzeczy samej większość audycji była wierszowana. Na przykład Gminna Spółdzielnia nadesłała komunikat, że są do nabycia wiadra. Kierownik radiowężla uważał, że komunikat ten należy podać w lekkostrawnej formie i wierszował go. Z biegiem czasu doszedł on już do takiej wprawności, że cyklicznie zaczęto nadawać tam rodzaj „komiksu” radiowego rymanowanego. Oczywiście monopol na tę „arcyważną” audycję miał sam przewodniczący GRN i równocześnie kierownik radiowężla. Czasem tylko do udziału dopuszczal swoją protegowaną, kobietę o wysokiach aspiracjach naukowych. Do ściślejszej współpracy wciągnął ją dopiero wtedy, gdy trzeba było opracować serię audycji, które miały doprowadzić miejscowego kierownika szkoły do porzucenia pracy i spowodować ułożenie na tym stanowisku właśnie owej protegowanej przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w Suchedniowie.

Aby zorientować bliżej czytelnika w „radosnej twórczości” tych dwójka wystarczy przytoczyć niektóre tytuły wyjęte z „komiksu” radiowego pana przewodniczącego. Oto one: „Historia pewnej wdówki, która miała pod oczyma podkówki”, „O amancie i jego flamaie”.

„Zaraz, zaraz, gdzie to już słyszeliśmy takie tytuły? Czy przypadkiem nie w pornograficznych pismach przedwojennych, których spora kupka leży na strychu u pana przewodniczącego? Z nich to czerpał on natchnienie przy opracowywaniu swych audycji. Ale idźmy dalej. Otóż po pewnym czasie rozochoczonemu „kolektywowi redakcyjnemu” w osobie przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej i jego przyjaciółki, nie wystarczy już „komiks” radiowy. Wprowadzono więc „fraszki dnia”. Dopiero teraz używał sobie pan przewodniczący — a fraszki posypały się jak z rogu obfitości. Między innymi na spółdzielnię produkcyjną w Krukcu (gmina Suchedniów). Wyśmiano pewną kobietę, która zwróciła uwagę komitetowi redakcyjnemu na to, że nie należy wyłączać ważnych audycji ogólnopolskich — konkretnie chodziło jej tutaj o nadawany przez Polskie Radio reportaż z procesu księdza Lelito. Audycja ta została przerwana i radiowężel nadał wiadomości o wojnie.

W czasie audycji, jedną z tych, jakie przytoczyliśmy. Poza tym napisano frazję na sytuację międzynarodową, w której użyto takiego sformułowania: „człowiek pracy spokojnie pracuje, do ataku się przygotowuje”. Ale gdy już przez głośniki Radiowężla nadano audycję w ten oto sposób zachwalającą spółdzielnię produkcyjną: „Chcesz jeść śledzia i rybke, zapisz się do spółdzielni produkcyjnej!” cierpliwie dotychczas słuchacze zaprotestowali przeciwko takim audycjom. Wyszło to bowiem na jaw, że takie uatrakcyjnianie programu to już nie głupota, lecz świadomie wroga działalność.

Trzeba tu jeszcze nadmienić, że winę za taki stan rzeczy w dużej mierze ponosi Ekspozytura Polskiego Radia w Kielcach, która nie otoczyła należytej opieką i nie kontrolowała działalności komitetu redakcyjnego radiowężla.

Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej został usunięty z Radiowężla w Suchedniowie, gdyż cała afera wydała się. Ale czy to nie zbyt późno?

W tej chwili w Suchedniowie powołany został nowy komitet redakcyjny, który w większości składa się z nauczycieli oraz robotników miejscowych zakładów pracy. Okazało się, że nie trudno było znaleźć w środowisku takim, jak Suchedniów, uczciwych i ofiarnych ludzi do pracy w komitecie redakcyjnym.

Przed nowym komitetem stanęły poważne zadania. Naprawienia szkody jaką wyrządził słuchaczom gminy Suchedniów przez swą wrogą działalność były kierownik komitetu redakcyjnego radiowężla.

\*

Zdarzają się wypadki, że w radiowężlach terenowych nieodpowiednio dobrane komitety redakcyjne uprawiają niebezpieczne awanturniczo programowe. Przykładem wypaczenia linii politycznej radiowężla w Końskich był następujący fakt: do

JAN RAK

## DUMANIE

Ziemio święta, ziemio stara,  
I zaganka mnieś nie dała.

Obiecano nam po śmierci  
Na miśląc. Gdy na świecie  
Rozmierząj pięknie, ładnie,  
Mnie bez mała mórg przypadnie!

Niechb z kraju, <sup>1)</sup> w środku, z końca,  
Nie pod upaćz <sup>2)</sup>, lecz do słońca.  
Ale skądże wziąć nasienia?  
Gdy odległa będzie ziemia.

Choćby orłów o to prosić,  
Żeby chcieli tam przynieść  
W dziołbach swoich nieco ziarna!  
Śiać i sadzić rzecz nie marna.

Człek nie może, już utyka.  
Do kamienia trza perlika. <sup>3)</sup>  
Zdrowe, świeże ma powietrze,  
Słucze, skruszy, na proch zetrze.

komitetu redakcyjnego zgłosił się miejscowy lekarz weterynarii z prośbą o wygłoszenie komunikatu o szczepieniu psów przeciwko wściekliznie.

Członkowie komitetu redakcyjnego po zapoznaniu się z komunikatem orzekli zgodnie, że komunikat jest zbyt suchy i należy go ubarwić. Komunikat został oddany do przeróbki. Ponownie wrócił do radiowężla, ale już w formie pogadanki, której autor wyczerpująco omówił historię wściekłej nry od czasów gdy wściekły się pierwszy pies. Ale i ta pogadanka nie zadowoliła wymagającego komitetu redakcyjnego. „Redaktorzy” z radiowężla dopatrzyli się z kolei, że pogadanka jest zbyt mało polityczna. Ostatecznie pogadanka przekształcona została na referat polityczny o sytuacji międzynarodowej z domieszką informacji o wściekliznie.

Sądząc, że przytoczone tu przykłady wystarczą, aby odpowiedziałne za pracę radiowężłów rozgłoszone regionalne Polskiego Radia i ekspozytura PZPR wzmogły swoją kontrolę i opiekę nad radiowężłami terenowymi. Nie potrzeba chyba udowodniać, że sprawa opieki i kontroli nad radiowężłami jest alarmująca.

Chciałbym się jeszcze zastanowić nad tym, jakie są drogi wyjścia z tej bzdury o bądź wciąż jeszcze trudnej sytuacji naszych radiowężłów. Uważam, że jedną z form podnoszenia poziomu pracy radiowężli jest częsta wymiana doświadczonych poszczególnych członków komitetów redakcyjnych. Mamy przecież wiele komitetów redakcyjnych, które mogą poszczycić się doskonałymi wynikami w pracy. W komitetach tych działają ofiarni społecznicy, ludzie, którzy pokochali swą pracę, wyróśli w radiowężlach i mogą stać się w przyszłości źródłem nowych kadr dla rozgłosni Polskiego Radia. O nich to będzie w następnym felietonie.

Kazimierz Zygmunt

DUSZA CZARA-STEC

# LUDOWA FOETKA

Ioanę Dancus, starą chłopkę rumuńską, nazywają w jej rodzinnej wsi „Horitoarea” — pieśniarka. Pieśni jej wędrują od domu do domu, z ulicy na ulicę, od wsi do wsi, aż na burko poety, który nachyla się nad nimi, aby zapoznać z nimi robotników i inteligentów.

„Kocham dzisiaj życie moje.  
Chcę poleciec jak ten ptak,  
Żeby ziemię całą objąć...  
Aż do Kremia chce dobiec  
Złożyć dzięki Stalinowi  
Za to piękne nasze życie”.

Pieśni Dancus bardzo się różnią od pieśni ludowych dawnych czasów, kiedy kulacy i obszarnicy byli u władzy. Wtedy Ioana tak śpiewała:

Królu, niech cię karzą zły  
naszych matek, naszych dziecząt.  
Klątwę na ciebie poia rzucę,  
nieoane, puste pola.  
Tyś na wojnę wysłał chłopców,  
ich do śmierci tyś prowadził...

Pieśni te, która przeklina uciskających lud śpiewały kobiety i dziewczęta w upalne dni na polach podczas znojnjej pracy.

Gdy wreszcie po ciężkich przeżyciach narodu rumuńskiego w sierpniu 1944 r. Armia Czerwona zbliżyła się szybkim krokiem do wsi Ioany, wyszła ona wraz z całą gromadą powitać wyzwolicieli chlebem i solą.

Wielkie było jej zdziwienie gdy wśród żołnierzy radzieckich zobaczyła kobiety-żołnierzy. A gdy się dowiedziała, że bohaterka radziecka uratowała most łączący jej wieś z wsią sąsiednią przed zniszczeniem przez faszystów, napisała następujący wiersz:

Oj, różyczka dumny kwiat!  
Był to dzień, sierpniowy dzień,  
Gdy zjawia się jutrzienka —  
Armia Czerwona śmiała —  
by nas bronie przed Hitlerem.  
Uciekali jak szaleni  
Pałac mosty, niszcząc drogi.  
Tylko most przed moją wioską  
Ocalała bohaterka  
Dzielną córa ziem radzieckich.

Po wyzwoleniu Rumunii przez Armię Czerwoną zaczęło się nowe życie we wsi Ioany, powstały nowe pieśni pełne nadziei i wiary w lepszą przyszłość. Ioana wspomina przeszłość i porównuje ją z obecnym życiem.

Świecie, odkąd cię poznałam  
szczęścia mato ja widziałam.  
Ach, od kiedy cię jutrzienka —  
dzionek żaden nie był dobry.  
Ale dni, którymi żyję  
wypełnione są radością,  
światłem śmieją się i szczęściem.

Lata idą i w kraju zachodzą pod kierownictwem Partii wielkie przemiany. W niedziele i święta Ioana Dancus idzie do świetlicy śpiewać swoje nowe pieśni mówiące o walce o pokój:

...Brała śpieszcie się do pracy  
Żeby pokój z niej wykuitnąć.  
Słyszcie dzieci do ogródka,  
a te starsze niech do szkoły  
pilnie idą do nauki...

Kulacy doprowadzeni do wściekłości zapowiedzieli, że jeżeli Ioana nie zaprzestanie pisać o nich sztyrczych wierszy, to jej usta zamkną kamieniami. Lecz ona dalej śpiewała. Nowe życie rozkwita z każdym dniem i towarzyszą mu nowe pieśni Ioany Dancus.

W roku 1948 80 rodzin chłopskich pod kierownictwem Partii złożyło spółdzielnię produkcyjną. Do nich należy Ioana Dancus ze swymi dziećmi. Najstarszy jej syn, Gavrile, jest brigadystą i wielka była jej radość, gdy się dowiedziała, że został wyznaczony na studia agronomiczne w Związku Radzieckim. Na sztyrczy śmiech kulaków pisze ona następującą odpowiedź:

Oj, listeczku ty zielony,  
hen, daleko jedzie syn mój.  
Kraj Radziecki go tam woła.  
Wiedzę nową tam nabędzie  
i powróci tu do pracy.  
A z zazdrości pękają będa  
Ciemi, wrodzy nam kulacy.

W rumuńskich wsiach wre praca jak nigdy przedtem. Chłopi radośnie pracują w swym własnym gospodarstwie spółdzielczym, widząc z każdym dniem wstępującą plon ich pracy. Wiedzą oni, że pracują dla siebie i nikt im tego nie odbierze.

Z gryzącą ironią potrafi Ioana Dancus wyśmiewać bumelantów:

Jak bohater jest mój mąż!  
Tylko z pracą wolać wciąż —  
rankiem jest mu trawa mokra,  
wie dnie za gorące słońce —  
jak pracować w taki żart?  
A wieczorem dreszcz go trzęsie,  
szybko wstąpi pod pierzynę  
żeby chrapać aż do rana!

W dniu podziału zboża wśród członków spółdzielni nie brak pięknej Ioany. Jak jaskółka wczesną wiosną, tak czeka ona na każde zdarzenie by śpiewać:

Nie daremna była praca,  
Patrzcie, złotem ziarno śni.  
Poszły od nas czasy te.  
Nie będziemy już głodować  
Jak za dawnych ciężkich lat,  
gdy bojarzy panowali  
i nad nami świsłat bat.

Z bolesnych czasów przeszłości i radosnych dni dzisiejszych czerpie Ioana Dancus natchnienie poetyckie i wzbogaca poezję ludową.

Jerzy Smuła

Dusza Czara-Stec

# Gazetka gminna

Skąd taka kariera?

Oto kariera pewnego człowieka zamieszkałego w gminie Warta Bolesławiecka, w woj. kieleckim.

Na przestrzeni lat 1945 — 1949 czynił wszystko, aby uwolnić się od przykrej konieczności pracy na swoim 7-hektarowym gospodarstwie. Dziękiwać Bogu, udało się, puścił ziemię w pacht za dobrą cenę obywatelom Leonii Skóra i Michałowi Mucowski.

Od roku 1949 rozpoczął nowy, wyżej zorganizowany etap życia, realizując hasło: minimum wysiłku — maksimum korzyści. Podził bimber. Miło to zajęcie przerwane zostało wizytą MO. Zadania do przylemowania bohater, 270.000 zł (stara waluta), ale trudno — trzeba było.

Przerzucił się z kolei na handel spirytusem. Rozpiął głównie młodzież, zawsze jednak dyskretnie, zawsze potajemnie. Nie był to jednak interes godny jego wielkiej zdolności.

Dłatego w następnych latach 1950 — 1952 przesuwał się na następny, jeszcze wyższy etap działalności, realizując hasło: kto głupi — niech pracuje. Rozpoczął na szerszą skalę sprzedaż maszyn rolniczych i mebli do Centralnej Polski. A skąd maszyny i meble? Zdobycwał je drogą „zabezpieczenia” bezpieczeństwa, rzekomo własności, co w języku zwykłych śmiertelników nazywa się skromnie szabrem. Szabre zaś — jak wiadomo — wciągają niezłym hazardem, palenie, picie, czy inny nałóg. W rzeczy samej wciągnął go do... więzienia. Ale gwałtada przemyślności nie przesłania mu nadal przysięść. Wyszedł szybko dzięki aneński.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że takim przylemnyim sprawom, jak np. palenie podatków, w ogóle się nie zajmujemy. Pobożny i soltysa wyrzucza najczęściej pod słońcem za drzwi. Mieczarnia także nie widziela ani jednego litra mleka od lego krow. Mimo tego jest społeczeństwem kocha gromadzkiego ZSCh i popędza dzielnie chłopów do odstawiania mleka.

Nie brak w gromadzie ludzi, którzy uważają, że Antoni Konecki, on to bohater, jest opisywanym bohaterem, w którym jest opisywanym bohaterem, w którym jest opisywanym bohaterem, w którym jest opisywanym bohaterem.

Az wstyd doprawdy napisać, że sprawy mają się zupełnie inaczej. Zadne gwiazdy pomyślności mu nie blyszczą i żadne niezwykłe siły nim się nie opiekują, lecz tylko on, Gregorek, przewodniczący GRN. Ślta to oczywiście nie mała, skoro potrafiła zapuścić kurtynę na tyle kombinacji Koneckiego. Ale i nie tak wielka, aby sobie nie można było z nią poradzić. Niechże nie PRN nie bol.

Berzywoj Mieczarz

Przedstawiamy do orderu

Sam często nie zdajemy sobie sprawy z tego, jakie wielkie i nie zawsze ujawnione talenty kryją nasze wiejskie przedszkola. Nie jesteśmy gołosłowni. Udało się nam bowiem taki talent ujawnić w gromadzie Roznica (woj. kielecki).

Trafiłszy akurat na moment, kiedy genialna przedszkolanka urzędzająca powzięła władomości. Coż to był za sukces pedagogiczny! błędnie przy nim stanowiąc Makarenko! Dość chyba wspomnieć, że potwarzyła dzieci, ledwo co chodzące, a i w mowieniu jeszcze nie tegie. Owa powtórką wyglądała mniej więcej tak:

— Kto jest, dzieci, naszym największym wrogiem?

— Imperializm (zgodny chór dziecięcy).

— A jaki?

— Amerykański (także zgodny chór).

— Słownie, a dokąd nas prowadzi droga?

— Do spółdzielczości produkcyjnej (chór).

Bogobojna Gienia

Nie koniecznie czynił w życiu praktycznym człowiek to, co na prawo i lewo rozpowiada, nie zawsze tak jest w sklepie, jak zapowiada sztyd. To mądre zdanie wykombinuje bez trudu każdy, kto pozna bliżej GS w gromadzie Gnojnik, gm. Uszew, pow. Brzeski i skiepową Genowefę Gabrys.

Skoro głowę do sklepu wsadzisz — jakbyś do kościoła wszedł, tyle obrazków świętych na ścianie, a sama Gabrys — jakby żywcem z nieba wyjęta. Towaru nie sprzedaje, jeśli jej od wejścia „niech będzie pochwalony” nie powiesz. A portretów naszych dostojników państwowych ani na lekarstwo.

Początkowo ludzie rzeczywiście byli przekonani, że mają do czynienia z bogobojną Gienią i jakże mogli myśleć inaczej, kiedy im każdy kawałek mydła, kiełbasy, każde kilo mąki w imię Boże do koszyków kładła. Inna rzecz, że z reguły do każdego kilo 10 deka brakowało. Ale nie dziw to, światowi słabo się na sprawach ziemskich wyznają.

Miejscowe dewotki adorowały ją nieomal że publicznie, kiedy wzięła pod opiekę Henryka Bobra, człowieka młodego, lecz zepsutego i kilku innych sta-

Byle do tej przywyć pracy.  
Czyż nie lepiej, mój Ignacy,  
Jak na ziemi ludność zwarta,  
Ciągły kłopot — czyż to warta?

Te Brazylije, Syberii? <sup>1)</sup>  
A do tego, kto dziś szczyry?  
Kończ na tym, towarzysze, —  
Z kłszycza wam więcej pisze.

<sup>1)</sup> Z kraju — z brzegu.  
<sup>2)</sup> Pod upaćz — spadek gór ku północy, przydatny tylko na las albo na paswisko.  
<sup>3)</sup> Perlik — młot do tłuczenia kamieni.

<sup>4)</sup> Przywyc — gwarowe, przywyknąć.  
<sup>5)</sup> Syberia — Syberia.

Jan Rak, najstarszy poeta ludowy, urodził się w 1820 r. w Fusowie, pow. Łanout, umarł w 1909 r.

— A jaka jest różnica pomiędzy gospodarką spółdzielczą a indywidualną? — Nic, milczcie, coś się zaczęło.

— No to sobie to zagadnienie ugruntujemy.

I rzeczywiście zabrała się do ugruntowania. Widzieliśmy na własne oczy „Zagadnienia leninizmu”, plansze, wykresy. Przebiegu ugruntowania nie zaobserwowaliśmy z dwóch powodów. Po pierwsze z obawy, by nam przypadkiem głowy ze zdumienia nie popuchły, po drugie zaś natychmiast siedliśmy do napisania wniosku o przyznanie bojowej przedświadczonej ordery za pracę na polu politycznym przedświadczonej. Jesteśmy pewni, że pod jej kierunkiem już niedługo nawet niemowlęta czytać będą „Wieś”, albo odznaczająca się niezwykle wysokim poziomem „Nowal Kulturalny” czy „Głos Czyteli”. Nie zapomnieliśmy oczywiście i o powiatowych władzach oświatowych. Niechże i na nie spłytnie deszcz orderów za zachwyty nad przedświadczonej. Zawszeć to dodawał jej animusz.

Piotr Pięwa

rych — także zepsulych. Nic, tylko żeby ich na drogę cnoty naprowadzić.

I patrzcie, co się okazało! Posiedzenia, które Gienia urzędzająca do podpadniętych moralnie mężczyznami, to były zwykłe popijawy, na których przejadano owe... 10 deka, brakujące do każdego kilo. Boher okazał się spekulatorem, który uprawiał spokojnie, nielegalny ułój pod czujnym okiem śpiekowej, a reszta popijawców to ci, którzy odpowiednio Gieni powitać w sklepie umieli i suto, przez nią zaopatrzeni odwdzięczali się popierając nielegalną produkcję jej pupila — Bobra. O moralności i niemiejskich sprawach na tych posiedzeniach się nie mówiło, lecz głównie o tym, jakby tu nie dopuścić do powstania spółdzielni produkcyjnej. Bardzo to przyziemna sprawa.

Tak więc sami widzieli, że nie brak u nas jeszcze ludzi-aniołów w góbie, diabłów w codziennym życiu. Nie ma innej rady, trzeba ich i z obłoków na ziemię ściągać, smagać orczem krytyki, jak diabłów świeconą wodą. Aż staną się ludźmi!

Jerzy Smuła

Redaktor naczelny JAN ALEKSANDER KROL  
Redaguje Komitet  
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starokiewicza nr 2.  
Tel.: Red. Nacz. 863-86 Tel.: Redakcji 870-61, wewnętrzny 5, 73, 8  
Warunki prenumeraty:  
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.  
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze

RSW PRASA — Warszawa Marszałkowska 3/5 4-B-18018